

W NUMERZE:

Tadeusz Kowalik — WYBITNA KSIĄŻKA W OBRONIE ZŁEJ SPRAWY — str. 2

— SPRAWY EKONOMISTÓW — str. 4 i 5

Tadeusz Szuba — LEKI NA APTEKI — str. 7

ZYCIE gospodarcze

TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

ROK XIII WARSZAWA-21 WRZEŚNIA 1958 R. CENA 2 ZŁ Nr 38/368

ZAROBKI a kwalifikacje

STANISŁAW WEREWKA

Wielką radością dowiedziałem się, że moje wywody dotyczące zagadnienia pieniądza w socjalizmie, opublikowane w „Weltwirtschaftliches Archiv”, wzbudziły zainteresowanie wśród polskich ekonomistów. Niestety nie znam polskiego języka, byłem więc zdany na przekłady. O ile jednak mogłem stwierdzić, zarówno wywody kol. kol. Mariana Krzaka i Jerzego Toeplitza (Życie Gospodarcze z 16.III.1958 r.) jak i kol. Adama Zwassa (Gospodarka Planowa nr 4/1958) w gruncie rzeczy zgadzają się z moimi wywodami. Uwagi krytyczne dotyczą w największej mierze mojej interpretacji Marksa. Krytyka ta nie jest — być może — całkiem bez podstaw, chociaż starałem się wszystkie moje stwierdzenia dotyczące interpretacji Marksa poprzeć cytacjami z jego dzieł. Jeśli obecnie wobec polskich ekonomistów podejmuję próbę uzupełnienia moich wywodów o pieniądza w socjalizmie, to chciałbym to uczynić wyłącznie co do jednej sprawy, ponieważ mam wrażenie, że co do niej właśnie u kol. kol. Krzaka i Toeplitza zaszło nieporozumienie, podczas gdy kol. Zwass w ogóle nie zajmował się tym zagadnieniem.

Moje wywody w „Weltwirtschaftliches Archiv” były próbą wykazania, że w krajach socjalistycznych praktyka pieniężno-kredytowa, znajdująca wyraz we wszelkich ekonomicznych bilansach ich planowej gospodarki oraz w ich ogólnej polityce pieniężno-kredytowej jest dobrze przemyślanym i skutecznie działającym systemem, podczas gdy dotychczasowa podbudowa teoretyczna z dziedziny pieniądza należy uznać za błędną lub niezgodną z faktami. Ponadto postawiłem twierdzenie, że współczesna tzw. dochodowa teoria pieniądza, sformułowana przez różnych niemarksistowskich ekonomistów, pod każdym względem nadaje się do tego, by tłumaczyć również istotę zjawisk pieniężnych w socjalizmie. Rzecz zrozumiała, należy przy tym obowiązkowo brać w rachubę różnicę między żywiołowym charakterem procesów gospodarczych w kapitalizmie i planowym charakterem tych procesów w socjalizmie. Kol. kol. Krzak i Toeplitz wytknęli mi w związku z tym, że Marksowi znana była dochodowa teoria pieniądza, bo przecież cytując Tookeya niektóre jego poglądy wziął za swoje.

W moim artykule pisanym w języku niemieckim, z braku miejsca nie rozwodziłem się szerzej nad dochodową teorią pieniądza. Zaniechałem tego również dlatego, że teoria ta jest dobrze znana ekono-

miom niemarksistowskim. Nie jest ona w żadnym punkcie zgodna z teorią Tookeya. Sprawa — czy na jej podstawie chce się pieniądza traktować po prostu jako asygnatę czy też nie, wydaje mi się, nie ma decydującego znaczenia, chociaż ja osobiście skłaniam się otwarcie do tego pierwszego ujęcia. Natomiast

Subiektywna wartość jednostki pieniężnej jest chyba w sposób przesadny uwypuklana przez pewien odłam zwolenników dochodowej teorii pieniądza. Aftalion i jego szkoła za punkt wyjścia biorą użyteczność krańcową jednostki pieniężnej, stanowiącej pewną część dochodu, przy czym ta użyte-

w górę lub w dół od ich wartości, to okazuje się siłą rzeczy, że każdy posiadacz dochodu za np. 1000 jednostek pieniężnych (jp) swojego dochodu nabywa taką ilość towarów, której wartość nie musi odpowiadać wartości masy towarowej, nabytej przez innych posiadaczy dochodów za 1000 jp. Prowadzi to do różnorodnej subiektywnej wartości dochodu dla każdego posiadacza dochodu, chociaż ta subiektywna różnica ma obiektywną przyczynę w różnicy między cenami poszczególnych towarów i ich wartością oraz między różnymi zestawami zakupowanych towarów. W tym względzie należy również zwrócić uwagę, że nawet poszczególni posiadacze dochodu nie są bynajmniej w swych decyzjach zupełnie wolni. Ustawili bowiem swój poziom życiowy odpowiednio do wysokości dochodów oraz swej pozycji społecznej w ogóle i swego środowiska. Tym samym w zależności od owych czynników układają swoje wydatki i zakupy, pozostając pod pewnym społecznym naciskiem, przez co ich formalnie wolny wybór konsumpcyjny podlega poważnemu ograniczeniu.

Najważniejsza myśl, powstała w oparciu o dochodową teorię pieniądza, odnosi się do kształtowania siły nabywczej pieniądza. Tutaj można również posłużyć się matematycznym przedstawieniem problemu.

Na czym więc polega różnica między ilościową i dochodową teorią pieniądza z punktu widzenia określenia wartości pieniądza? Niech mi wolno będzie różnicę tę przedstawić przy pomocy właściwie niedozwolonego i częściowo bę-

Przy stosowanych u nas systemach płac siatka taryfowa, a ściślej mówiąc — współczynnik kwalifikacyjny i odpowiadająca mu stawka godzinowa powinna zabezpieczyć wysokość wynagrodzenia w zależności od posiadanych kwalifikacji.

Układ zbiorowy pracy dla przemysłu metalowego przewiduje zapłatę za pracę najwyższej kwalifikowanej, dla robotników zatrudnionych w zakładzie przy „robotach zimnych”, 2,36 razy większą niż za pracę w pierwszej grupie kwalifikacyjnej, zaś najlepiej wykwalifikowany robotnik pracujący akordowo przy „robotach gorących” powinien zarobić 2,48 razy więcej od robotnika posiadającego najniższe zaszerzowanie.

Nasuwa się pytanie, czy ta rozpiętość jest dostateczna, aby stworzyć wśród robotników zainteresowanie wyższą grupą zaszerzowania.

Powszechnie znane zaniedbania w podnoszeniu kwalifikacji świadczą o tym, że ta rozpiętość nie stanowi specjalnie mocno działających bodźców do podnoszenia kwalifikacji — bicia się o wyższą grupę. Zwiększenie rozpiętości współczynnika kwalifikacyjnego mogłoby to zainteresowanie znacznie poprawić. Na zwiększenie tej rozpiętości w najbliższym czasie nie pozwolą nam jednak nasze skromne możliwości finansowe.

Dość dowolnie ustawione normy pracy mogłyby również zupełnie przekreślić spodziewane rezultaty reformy tego typu. Wiadomo jest, że napięcie norm nie jest jednakowe w poszczególnych zakładach, czy nawet w poszczególnych grupach robót. W tej sytuacji ze zwiększenia rozpiętości współczynnika kwalifikacyjnego skorzystałyby przede wszystkim grupy robotników pracujących na normach zaniżonych. Reforma taka mogłaby tylko pogłębić

istniejący paradoks — polegający z jednej strony na niewielkiej rozpiętości współczynnika kwalifikacyjnego, a z drugiej strony na dużej rozpiętości płac. Nam chodziłoby raczej o zwiększenie rozpiętości płac sprzyjające podwyższeniu kwalifikacji, a więc o zwiększenie rozpiętości uzyskane przez zwiększenie współczynnika kwalifikacyjnego, a nie o zwiększenie „kominów płacowych” powstałych na skutek zaniżonych norm.

Dla porównania warto dodać, że w hutnictwie angielskim rozpiętość między stawką najniższą a najwyższą wyraża się stosunkiem 1:4. Znaczna progresja podatkowa znosi częściowo tę rozpiętość. W sumie jednak ta rozpiętość jest znacznie większa jak u nas. W hutnictwie amerykańskim rozpiętość współczynnika kwalifikacyjnego równa jest stosunkowi 1:2,5. Na pozór przytoczona rozpiętość z hutnictwa amerykańskiego stanowiłaby kontrargument wywodów. Tak jednak nie jest ze względu na inny sposób obliczania podatku od wynagrodzeń. Istnieje tam jednakowa stopa procentowa podatku, tak że w praktyce rozpiętość między stawką najniższą a najwyższą zostaje w całości utrzymana. Duża siła pieniądza sprawia również, że ta rozpiętość jest mocno działającym bodźcem do podnoszenia kwalifikacji.

W przemyśle metalowym Czechosłowacji, gdzie istnieją duże tradycje ciągłego doskonalenia zawodowego robotników podczas pracy i do brze rozbudowana sieć szkół fabrycznych, w których zresztą kształcą się nie tylko robotnicy, ale także załogi przedsiębiorstw, stosunek między stawką najniższą a najwyższą kształtuje się jak 1:2. W praktyce jednak rozpiętość ta stwarza o wiele lepsze zainteresowanie wyższą grupą zaszerzowania niż w naszym przemyśle metalowym. Dzieje się tak dlatego, że istnieją bardzo niskie stawki dla robotników przyuczonych do zawodu i dla praktykantów, którzy nie zdali jeszcze egzaminu czeladniczego. W praktyce grupę zaszerzowania z normalnej siatki płac może otrzymać tylko robotnik, który wykaże się na egzaminie kwalifikacyjnym świadectwem czeladniczym i umiejętnością wykonania wszystkich robót należących do danej grupy kwalifikacyjnej.

U nas natomiast często III czy IV grupę zaszerzowania posiada robotnik młodociany, który przyszedł się przez kilka tygodni do zawodu. Wiele zakładów ma poważne kłopoty z takimi fachowcami, zwłaszcza przy zmianie profilu produkcyjnego.

Tak więc nawet niska rozpiętość współczynnika kwalifikacyjnego nie jest w praktyce utrzymywana. Przede wszystkim dlatego, że zwykle nie spotyka się zaszerzowania w grupie I, a już bardzo rzadko w grupie II i IX.

A. Rajkiewicz w swojej broszurze „Sprawy szkolenia, zatrudnienia i wynagrodzenia młodzieży” podaje powołując się na materiały Komisji Planowania przy Radzie Ministrów z 1956 roku, że tylko minimalny odsetek robotników otrzymywał wynagrodzenie według grupy I i II. W branży metalowej ten odsetek stanowił: w grupie I — 0,4%, w grupie II — 0,8%. W branży elektrycznej: w grupie I — 0,3%, w grupie II — 0,8%. W zakładach „Nowotki” do tych grup zaszerzowani są tylko gońcy i sprzątacze.

W ten sposób rozpiętość dla robotników zatrudnionych przy „robotach zimnych” praktycznie równa się nie stosunkowi 1:2,36 ale 1:1,73 (po wyeliminowaniu grupy I, II i IX), zaś przy „robotach gorących” rozpiętość ta zmniejsza się ze stosunku 1:2,48 do 1:1,80. Na obniżenie rozpiętości współczynnika kwalifikacyjnego działa także progresywnie ustawiony podatek od wynagrodzeń. Rozpiętość w płacach po potrąceniu podatku od wynagrodzenia wynosi bowiem zaledwie 1,60.

Reforma idąca w kierunku zmniejszenia progresji stopy procentowej podatku od wynagrodzeń, w sytuacji dość dowolnie ustalonych norm i istnienia w związku z tym tzw. „kominów płacowych”, wydaje się jednak niecelowa.

Możliwa i celowa wydaje się natomiast reforma idąca w kierunku zmniejszenia ilości dotychczas stosowanych grup zaszerzowań (z 9 do 6) z równocześnie zwiększeniem rozpiętości współczynnika kwalifikacyjnego między poszczególnymi grupami.

PIENIĄDZ W SOCJALIZMIE

STEFAN VARGA

uważam, iż zasadnicze znaczenie ma ten fakt, że teoria ta nadaje się zarówno do wykazania subiektywnych różnic wartości pieniądza, jak i dla wykrycia przyczyn i matematycznych związków obiektywnego kształtowania się siły nabywczej jednostki pieniężnej, przy czym ta ostatnia występuje na gruncie całkowitego odbiegającym od stwierdzeń teorii ilościowej.

znosć krańcowa może być różnej wielkości dla każdego pobierającego dochody. Ja natomiast przywiązuję wagę do okoliczności, że poszczególni pobierający dochody użytkownicy je w różny sposób, a więc nabywają towary w różnych zestawach. Ponieważ ceny poszczególnych towarów w różnym stopniu odbiegają od ich wartości i niejednokrotnie mierze odchylają się

SPÓR O MIEDZĘ

JERZY IDZIKOWSKI

Bywa tak często, że dwaj sąsiedzi calymi latami procesują się o... miedzę. Spór ten nieraz przekształca się w rodzinną tradycję, nieraz ponad miarę pochłania czas i energię obu rodzin, ciężkim brzemie-

niem kładąc się na zajęciach gospodarskich. Procesy trwają a praca „leży”.

PERSPEKTYWY GAZOWNICTWA

Omawiany poniżej przypadek, chociaż w wymiarach dużo poważniejszy, przypomina przecież ów przysłowiowy spór o miedzę. Dotyczy on struktury organizacyjnej naszego gazownictwa i jego perspektyw rozwojowych.

Nie jest to problem biały. Gaz zajmuje coraz bardziej poczesne miejsce w naszej gospodarce narodowej. Jego zastosowanie oznacza „ogromną oszczędność węgla, podnosi higienę i kulturę bytu człowieka. Gaz jest jednocześnie surowcem wyjściowym dla licznych dziedzin chemii. Stanowi źródło energii dla metalurgii i wielu innych gałęzi przemysłu. Wskaźnik odgazowania i zgazowania węgla dla potrzeb koksoownictwa i gazownictwa w dużej mierze określa stopień uprzemysłowienia kraju. U nas wskaźnik ten wciąż nie jest wysoki. Gazyfikacji podlega zaledwie 15% wydobytego węgla, gdy na Zachodzie — 40% i więcej. A więc duży problem — duże zadanie.

Drugim problemem stanowi wzrost eksploatacji gazu naturalnego (ziemnego). Znamionuje go wysoka wartość opałowa, niski stopień zanieczyszczeń, niski koszt wydobycia oraz możliwość transportu w odległość systemem dalekosiężnych rurociągów. Zalety te powodują, że gaz ziemny wysuwa się na pierwszy plan w gazownictwie. Eksploatacja nowoodkrytych, bogatych złóż w okolicach Lubaczowa, niewątpliwie wpłynie na poważny wzrost udziału gazu ziemnego w ogólnym bilansie paliw.

Dla przeciętnego obywatela postęp gazyfikacji — to możliwość lepszego zaopiekowania codziennych spraw bytowych. Tymczasem na 2,5 mld m³ gazu rozproszanego w 1957 r., na potrzeby bytowe zużyto tylko 24%. Zużycie gazu na mieszkaniową wynosiło 17,5 m³, podczas gdy w Anglii wskaźnik ten

wynosi 163 m³, we Francji — 48 m³, w CSR — 18 m³, w NRF — 39 m³, w Austrii — 62 m³, w Rumunii — 55 m³, w Szwecji — 41 m³.

Toteż w planie perspektywicznym opracowanym na lata 1960—1975 zakłada się, że produkcja gazu wyniesie 7 mld m³, a potrzeby bytowe mają pochłonąć 31% ogólnego bilansu gazu. Zużycie na 1 mieszkańca wyniesie ma w 1975 r. 63 m³.

Widać z tego, że przed gazownictwem postawione zostały daleko idące zadania. Plan perspektywiczny został już opracowany, już zatem w najbliższym czasie trzeba przystąpić do realizacji zadań związanych z gazyfikacją kraju: do budowy i rozbudowy sieci centralnej dla przesyłania gazu (ziemnego i koksoowniczego) oraz do budowy wielkich przemysłowych wytwórni gazu w Koninie (800 mln m³ rocznie), w Turowie (300 mln m³), w Krakowie (250 mln m³). Ośrodki te wykorzystywałyby na miejscu węgiel brunatny lub niskokaloryczny węgiel energetyczny. Wzrosnąć musi też wydobycie gazu ziemnego. Niewątpliwie to zamierzenia wymagają skoordynowanej polityki inwestycyjnej oraz centralnego ośrodka kierowniczego.

Do tej pory rolę takiego ośrodka spełniał — lepiej czy gorzej — Centralny Zarząd Gazownictwa, podległy Ministerstwu Przemysłu Ciężkiego. Konieczność utrzymania całej gospodarki paliwami i energią w jednym resorcie stała się przyczyną reorganizacji CZG, który ma znaleźć się w gestii Ministerstwa Górniczego i Energetyki. Co do tego wszyscy są zgodni; wydawałoby się zatem, że nie protostoją, jak przekazał CZG z jednego resortu do drugiego i przystąpić do realizacji nowych zadań.

Tymczasem cała sprawa rozbija się o... 10 gazowni. Są to dawne gazownie miejskie w Warszawie, Łodzi, Bydgoszczy, Toruniu, Gdańsku, Szczecinie, Wrocławiu, Poznaniu, Zgorzelcu i Krakowie, przejęte w 1951 r. przez MPC.

Dziś — zgodnie z ustawą o radach narodowych i zaleceniami komisji

sejmowej — przewidziane są do przekazania odpowiednim radom.

Łącznie produkują one 350 mln m³ gazu — przeważnie na lokalne potrzeby miast. Zagadnienie to jest więc wyraźnie peryferyjne z punktu widzenia generalnego planu gazyfikacji kraju.

A przecież to właśnie problem owych 10 gazowni zaprzęta dziś głowy członków międzyresortowej komisji, powołanej do reorganizacji gazownictwa; pochłania ich czas na wszelkich spotkaniach i posiedzeniach; stanowi główną przeszkodę w ruszeniu z martwego punktu.

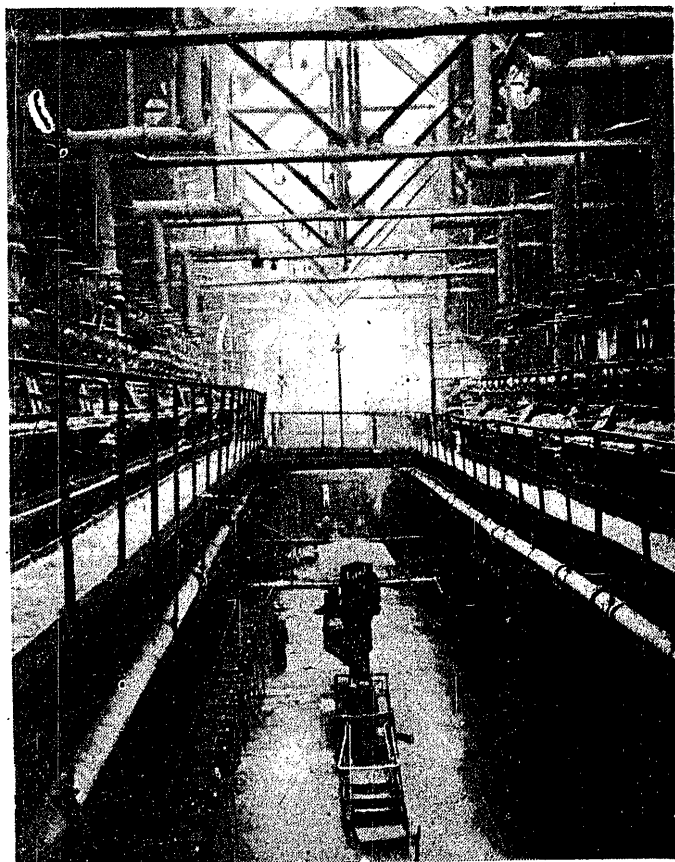
CO DAŁA CENTRALIZACJA?

Jak już wspomniałem, gazownie te przejęte zostały w 1951 r. przez MPC — z zadaniem przekształcenia ich w gazownie okręgowe, tzn. produkujące i przesyłające gaz do innych miast. W gestii rad narodowych pozostawiono 180 gazowni produkujących 280 mln m³ gazu świetlnego rocznie i 30 rozdzielni.

Nasuwa się pytanie, czy gazownie przekazane MPC stały się w ciągu ostatnich 7 lat rzeczywistie okręgowymi, czy zostały rozbudowane i czy przekazują gaz poza granice swych miast?

Okazuje się, że po dziś dzień gazownie te ani nie straciły lokalnego charakteru, ani też nie uległy przewidzianej rozbudowie. Zaopatrują one w zasadzie tylko miasta, w których się znajdują. Ponadto mają one charakter wybitnie komunalny, ponieważ 60% ich produkcji konsumuje ludność miejska na swe potrzeby bytowe. Jest to prawie tyle samo co w gazowniach podporządkowanych radom narodowym (67%).

Co więc dała centralizacja? Dała znaczną rozbudowę aparatu administracyjnego. Np. gazownia w Bydgoszczy, gdy w 1951 r. przejmowała ją MPC zatrudniała 18 ludzi.



Gazownia Warszawska

Foto CAF

ROK XIII WRZEŚNIA 1958 R. CENA 2 ZŁ Nr 38/368

WYBITNA KSIĄŻKA w obronie złej sprawy

TADEUSZ KOWALIK

Nie można powiedzieć, że Karol Kautsky był w naszej dotychczasowej polityce wydawniczej całkowicie ignorowany. Wydawano jego dzieła w Polsce Ludowej jego książki. Aż czterokrotnie wydano jego, znane czytelnikowi polskiemu od lat siedemdziesięciu niemal, „Nauki ekonomiczne Karola Marksa”. Ukazały się też jego prace o pocho-

chodzeniu chrześcijaństwa, o przedmiotach współczesnego socjalizmu i o Tomaszu Morusie. Wszystkie one stanowiły (obok prac Plechanowa) istotną część tzw. „Biblioteki socjalizmu naukowego”, zapoczątkowanej przez „Książkę” i kontynuowanej w pewnym okresie przez „Książkę i Wiedzę”.

Byłoby dobrze, gdyby ostatnie fakty takie, jak ubieganie się dwóch najpoważniejszych wydawców o wydanie kilkutomowego zbioru dzieł Plechanowa, jak niedawno zapowiedziany przez KiW wybór pism Kautskiego oraz ukazanie się pierwszego i drugiego tomu „Kwestii rolnej” Kautskiego, zwiastowały zdjęcie częściowej anatemy z Kautskiego i wielu innych socjaldemokratów kierunku marksistowskiego.

Ukazanie się „Kwestii rolnej” jest wydarzeniem zamyślnym. Jest to pierwsza wydana po wojnie książka Kautskiego o treści niehistorycznej i nie będąca prostą popularyzacją pracy klasyka.

*

„Kwestia rolna” jest najważniejszą pracą ekonomiczną Karola Kautskiego (*). Wyrosła ona z politycznych potrzeb ruchu robotniczego. Z walki poglądów w łonie niemieckich socjaldemokratów.

Początki ożywionego zainteresowania kwestią agrarną sięgają pierwszej połowy lat dziewiętnastego wieku. Aż do tego czasu uważano wśród marksistów, że rozwój kapitalizmu w szybkim tempie przekształcał kwestię drobnego chłopstwa w kwestię robotniczą. Drobną gospodarką rolną skazaną jest bowiem na nieuchronną zagładę, a drobnego chłopca na pauperyzację i rychłe przejście w szeregi proletariatu przemysłowego lub rolnego. Zdawało się, że rozwój Niemiec i innych krajów kontynentu pójdzie po drodze klasycznego kraju kapitalistycznego, tj. po drodze Anglii, gdzie drobne gospodarstwa zostały wyparte przez wielką własność rolną.

Z takich założeń wychodząc, traktowano chłopstwo jako jedną reakcyjną masę, która broniąc się przed upadkiem przedłużała tylko chwilę radykalnej reformy społecznej. Obrona chłopstwa przed ruiną nie jest więc zadaniem socjaldemokracji, która zajmowała wobec niego postawę neutralną.

To tradycyjne antysojuszowe i w istocie rzeczy antychłopskie stanowisko marksistów zostało zaatakowane jednocześnie we Francji i w Niemczech. Na kongresie francuskiej partii socjalistycznej w Nantes w 1894 r. z jednej strony akcentowano, że drobna własność chłopska skazana jest niechybnie na zagładę, z drugiej zaś deklarowano obronę chłopstwa przed ruiną i upadkiem. Engels ostro skrytykował ten program, zarzucając jego autorowi, że obiecuje to, co jest niemożliwe i widząc w tym sprzeczanie się z zasadami socjalizmu.

Z sarkazmem i oburzeniem pisał Engels: „Francuzi w Nantes oświadczyli przez usta Lafargue’a nie tylko (co im pisałem), że nie jesteśmy powołani do przyspieszania przez bezpośrednią ingerencję upadku drobnego chłopstwa — to za nas załatwia kapitalizm — ale powiedzieli też, że wprost należy bronić małego rolnika przed podatkami, lichwą i wielkimi właścicielami ziemskimi. W tym jednak nie możemy brać udziału, po pierwsze dlatego, że nie ma do sensu, a po drugie dlatego, że jest niemożliwe.”

Dopiero wiele lat później marksisci zrozumieli, że obowiązkiem socjalistów jest nie tylko wskazywanie chłopom małego rolnika, na twardą w kapitalizmie tendencję do ruiny drobnego własności rolnego,

ale i energiczna obrona tej własności właśnie przed nadmiernymi podatkami, lichwą i przed wielkimi właścicielami ziemskimi, że nie oznacza to bynajmniej sprzeczanie się z zasadami socjalizmu, lecz leży w jego interesie.

Tymczasem jednak będąc się socjaliści borykali z nierozwiązalnym dla nich dylematem „albo socjalizm, albo obrona małego rolnika”. Ci, którzy dochodzili do zrozumienia konieczności obrony chłopstwa, przynajmniej w zastosowaniu do rolnictwa. Ci zaś, którzy pozostawali wierni zasadom socjalizmu, pchali drobnego chłopstwa w objęcia partii burżuazyjnego reformatorów. Dylemat ten stał się przyczyną rozdarcia ideowego socjalizmu, przy czym obie strony zajmowały stanowisko błędne, dla sprawy socjalizmu szkodliwe. Tak miała się rzecz z socjaldemokracją niemiecką.

W Programie Erfurckim z 1891 r., którego autorem był, jak wiadomo, Karol Kautsky potraktowano sprawę drobnego własności rolnego i pracującego chłopstwa w sposób tradycyjny. Rolnictwo rozwija się według tych samych praw co przemysł. Kapitalizm niszczy drobną własność chłopską podobnie jak rzemiosło i drobny handel. Już jednak na Zjeździe we Frankfurcie w 1894 r. dostrzeżono, że takie stanowisko nie wystarczy. Dostrzeżono potrzebę odrębnego programu agitaacji na wsi i wybrano komisję, która miała się zająć tą sprawą. Fakt, że najgłośniejszym orędownikiem programu rolnego był Vollmar, znany już wówczas ze swych skłonności oportunistycznych i reformistycznych, bardzo utrudnił niemieckim marksistom zrozumienie sprawy chłopskiej.

Kiedy w rok później, na zjeździe wrocławskim, debatowano nad rezultatami wspomnianej komisji, zwyciężył w istocie rzeczy duch tradycji. Pomimo gorącej obrony przedstawionej przez komisję dość niewinnego zresztą programu rolnego nie tylko przez takich ludzi, jak Vollmar, David, ale i przez Bebla, Liebknechta, pogrzebano samą ideę programu rolnego.

Wiele nagromadzonych przez dziesięciolecie legend, a również zaprezentowana w wydanej świeżo książce Kautskiego świetna marksistowska analiza ekonomiczna rolnictwa, tak sprzyjają utrwaleniu się mitu, że odrzucono wówczas program reformistyczny, lapchłopski, rewizjonistyczny. Dlatego cytując projekt tego programu w całości:

„W interesie kultury rolnej oraz proletariatu wiejskiego i drobnego właściciela ziemskiego zjazd polca towarzyszy, aby w agitacji i działalności, w organizacjach społecznych wystawiali następujące zadania:

1. Zniesienie wszelkich, związanych z własnością ziemską przywilejów politycznych (samorządna wielka własność ziemską, przywileje w organizacjach przedstawicielstwa, prawo patronatu, „fideikomisy” (ordynacje, przywileje podatkowe); zniesienie bez wyjątków wszelkiego rodzaju poddaństwa dziedzicznego.

2. Powiększenie własności ziemskiej społecznej (państwowej i gruntowej wszelkiego rodzaju), w szczególności ukrajowanie własności ziemskiej tak zwanej martwej reki, tj. majątków należących do korporacji i kościołów, majątków stanowiących własność państwa, na prawach alimdy, ukrajowanie lasów i wód, wszystko — pod kontrolą przedstawicielstwa narodowego.

3. Zaprowadzenie prawa gmin do uprzywilejowanego zakupu majątków, sprzedawanych na licytacjach publicznych.

4. Uprawa własności ziemskiej państwowej i gminnej na rachunek własny, albo oddzielanie stowarzyszeniom robotników wiejskich i drobnych albo tam, gdzie ani jedno, ani drugie nie jest możliwe, oddzielanie gospodarzom rolnym, pracującym na roli bez pomocy najemników pod dozorem państwa lub gminy.

5. Kredyt państwowy dla gmin i związków, dla melioracji rolnych, regulowania, wznoszenia i utrzymania tam i nasypów.

6. Przełożenie na rachunek państwa lub Rzeszy Niemieckiej wydatków na utrzymanie środków komunikacji (drogi, koryta rzeki).

7. Upanstwowienie długów hipotecznych i ziemskich z oznaczeniem wysokości procentu na poziomie wydatków na cele kredytu.

8. Upanstwowienie ubezpieczeń własności ruchomej i nieruchomości (ubezpieczenie od ognia, od gradobicia, od wylewu rzek i innych wypadków losowych, zależnych od przyrody, ubezpieczenie inwestorów itd.) i rozszerzenie zasady ubezpieczenia na wszystkie działy produkcji.

9. Utrwalenie i rozszerzenie istniejących praw do użytkowania lasów i pastwisk, przy jednoczesnym zrównaniu praw wszystkich należących do gminy mieszkańców.

10. Prawo polowania na ziemi własnej i dzierżawnej. Wynagrodzenie straci, doznawanych od zwierząt i zabezpieczenie przed możliwością takich szkód i strat”.

Olbrzymią większością głosów projekt komisji rolnej odrzucono. Uchwalono wniosek Kautskiego, który zarzucał projektowi, iż ten budził u chłopów złudne nadzieje na poprawę ich bytu, na wzmocnienie ich prywatnej własności, że daje w ręce państwa nowe narzędzia władzy, narzuca obecnemu państwu zadania, które może wykonać tylko państwo socjalistyczne.

Na szczęście obok tego, jakże dogmatycznego i doktrynerskiego uzasadnienia uchwalono w odrębnym głosowaniu drugą część rezolucji, stwierdzającą, że rolnictwo posiada swoją specyficzną rolę, z którą należy się liczyć, jeśli socjaldemokracja ma rozwinąć skuteczną działalność na wsi oraz upoważniając zarząd partii do polecenia gruntownego zbadania stosunków rolnych. Pomyślano nawet o wydzieleniu specjalnych funduszy, które pozwoliłyby „towarzyszom specjalistom wykonanie tej pracy”.

Warto na marginesie podkreślić, że jest to godny uwagi współczesny sposób rozstrzygnięcia sporów partyjnych i ideologicznych. Wnikliwe badania, stworzenie warunków dla takich badań, a później konfrontacja rezultatów badań — oto co uczynili socjaliści niemieccy. Oczywiście właściwe podejście do zagadnienia nie zabezpiecza automatycznie dobrego rozwiązania.

W przypadku omawianym osiągnięto doniosłe rezultaty naukowe, pogłębiono zaś trudności programowo-polityczne.

Oprócz wielu polemik i artykułów, zasadniczym wynikiem badań „towarzyszy socjalistów” były dwie książki: wydana w 1899 r. „Kwestia rolna” Karola Kautskiego oraz Edwarda Davida „Socjalizm i rolnictwo”, która ukazała się dopiero w cztery lata później.

Dla dzisiejszego czytelnika ostrożny bilans dociekań jest zdumiewający i paradoksalny. Oto w obronie słusznej w swych pierwotnych intencjach sprawy, w obronie idei programu agrarnego, powstała niemarksistowska, drobnoburżuazyjna książka Davida, książka, która jest zwykłą apologią drobnego własności i „kultury oborki”.

Obronie zaś niesłusznej tezy politycznej, obronie szkodliwego dogmatu odrzucającego chłopstwo pracujące w ramiona burżuazji, literatury socjalistycznej zawiadziało powstanie wybitnego dzieła ekonomicznego, śmiało rozwijającego marksowską teorię koncentracji, zawiązyającego jeszcze dzisiaj trafnością wielu spostrzeżeń, dzieła, którego pierwszy tom Lenin ocenił jako najwybitniejszą pozycję od czasu ukazania się III t. „Kapitału”. Kautsky rezygnuje z tradycyjnej tezy o szybkiej proletaryzacji chłopstwa, dostrzega całą złożoność i długotrwałość procesów rozwoju kapitalizmu i koncentracji w rolnictwie, ale niestety utwierdza się w przekonaniu o reakcyjnym charakterze całego chłopstwa, o niemożliwości trwałego sojuszu proletariatu z pracującym chłopstwem, o niemożliwości socjaldemokratycznej obrony drobnego własności, której wywłaszczenie jest warunkiem poprzedzającym socjalizm. Socjaldemokracja wspólnie proletaryzowanemu i wywłaszczanemu chłopstwu, ale nie może go przed tymi procesami bronić, bo to byłoby bezskuteczne i reakcyjne. Pozostaje tylko neutralne wycokiwanie, aż burżuazja wykona swą historyczną, brudną robotę. Książka Kautskiego jest dlatego wewnętrznie sprzeczna, rozdarła, a linia tego rozdarcia biegnie z grubszą między i totem, omawiającym ekonomiczne tendencje rolnictwa kapitalistycznego, a totem II — poświęconym sprawom programu rolnego socjaldemokracji.

* Karol Kautsky — „Kwestia rolna”, Warszawa, 1958, Książka i Wiedza.

† Z listu Engelse do Sorgera z 10.XI.1894 r. Podkreślenie moje — T. K. por K. Marks i F. Engels: Listy Wybrane, Warszawa, KiW, 1957, s. 614. Na list ten i na stanowisko Engelse zwrócił moja uwagę M. Mieszkowski.

‡ Por. K. Kautsky: Kwestia rolna w Rosji, Warszawa, 1906, tłumaczenie S. Poneri, załącznik.

dokonczenie
ZE STRONY 1

może prowadzącego do błędów uproszczenia na gruncie prostych schematów.

Wyobraźmy sobie jakąś gospodarkę narodową, znajdującą się w równowadze. Wartość produktu społecznego brutto w okresie jednego roku niech wynosi 1500 j.p., produkcja niezbędna dla reprodukcji prostej (produkcja surowców i towarów wyrównujących obniżenie wartości urządzeń na skutek ich zużycia) — 500 j.p., wartość wyprodukowanych dóbr konsumpcyjnych — 1000 j.p., w konsekwencji dochód narodowy także — 1000 j.p. Dla dokonania wypłaty wynagrodzeń, zakupów itd., a więc wszelkich transakcji pieniężnych, potrzeba 100 j.p. Szybkość obiegu pieniądza wynosi zatem będzie 15 na rok. Niech będzie przy tym dana siła nabywcza pieniądza, określona na podstawie relacji cen, jakie się wytworzyły.

Wylania się tedy pytanie, jakie wystąpią zmiany w wartości pieniądza, jeśli produkcja i związana z nią realny produkt społeczny i dochód narodowy pozostaną niezmienione, natomiast państwo przez inflacyjne emitowanie pieniądza podwyższy jego ilość z 100 j.p. do 200 j.p. Zgodnie z ilościową teorią pieniądza, powinna nastąpić zwykła cen o 100%, a siła nabywcza pieniądza powinna spaść o połowę, uwzględniając naturalnie, że szybkość obiegu pieniężnego pozostaje niezmieniona. Irving Fisher liczy się, jak wiadomo, z tą relatywną niezmiennością szybkości obiegu. Jeśli się to założenie wyeliminuje, wtedy powstaje całkowita niepewność co do ukształtowania się wartości pieniądza, gdyż nie zostały jeszcze odkryte prawidłowości zmian szybkości obiegu pieniężnego. Przy omyślnym zaś założeniu równowagi wymiany teorii ilościowej sprowadza się do czystej tautologii: wynik końcowy mnożenia ilości pieniądza i szybkości obiegu pieniężnego, daje siłą rzeczy sumę dokonanych wydatków.

A jak w porównaniu z tymi stwierdzeniami przedstawiają się wywody dochodowej teorii pieniądza? Dla niej punktem wyjścia jest przekonanie, że w ostatecznym rachunku towary zostają zakupione tylko formalnie przy pomocy pieniądza, a faktycznie z dochodów, a więc równocześnie przy ich pomocy. W statycznym stanie równowagi musi więc suma dochodów być równa wartości wyprodukowanych dóbr użytkowych. Jeśli więc państwo wprowadza do obiegu 100 dodatkowych jednostek pieniężnych, to zapewnia sobie siłę nabywczą, która zaczyna konkurować z jednostkami pieniężnymi dochodów. Teraz więc w okresie przejściowym 100 j.p. (1000 j.p. uprzednich posiadaczy dochodów) i 100 ze strony państwa) współzawodniczy o dobra użytkowe, znajdujące się na rynku w niezmienionej ilości. Równowaga zostaje przywrócona, jeśli ceny podniosą się o 10%. Wprawdzie ilość pieniędzy w obiegu zwiększa się o 100%, jednakże nie ma to żadnego bezpośredniego znaczenia.

Powyższe stanowi punkt wyjścia dla dalszych wywodów w zakresie teorii pieniądza oraz wywodów ekonomiczno-matematycznych. Gdyby kontynuować tok rozumowania, trzeba by poświęcić uwagę wielu czynnikom komplikującym sytuację. Nie miejsce tu, by zastanawiać się nad nimi i ich wszystkimi zawiłościami. Należy jedynie wskazać niektóre tylko skutki wpływu i rozprzestrzeniania się tych dodatkowych komplikacji. Są one zresztą tego rodzaju, że wyłamują się z ram czysto statycznego określenia przyszłych założeń.

Jest np. rzeczą prawdopodobną, że zapotrzebowanie na pieniądź gotówkowy ze strony gospodarki nie podwoi się, część więc dodatkowego pieniądza odczeka jako wkład bankowy, będący dla banków w kapitalizmie podstawą do rozszerzenia kredytu, a tym samym podstawą dalszego tworzenia siły nabywczej. Jednakże o takie tworzenie siły nabywczej gospodarka prawdopodobnie wystąpiłaby wobec banków już wcześniej, chociażby z uwagi na postępujące podwyżki cen.

A dalej — sprawą decydującą znaczenia jest, czy gospodarka znajduje się w stadium pełnego zatrudnienia czy nie, lub czy w gospodarce występują wąskie gardła, które przez podniesienie popytu mogą być objęte szczególnym ruchem cen. A więc ma to zasadniczy wpływ na skutki ruchu cen, wynikające z tworzenia siły nabywczej.

Współczesna teoria pieniądza uświadcza wszystkie te współzależności, uobecnione oddziaływania i skutki przebiegające oraz uszeregowane w schematy, dające się wykorzystać matematycznie. Schematy te mogą być równie dobrze użyte dla warunków socjalistycznych, przy czym trzeba zwrócić uwagę na podstawową różnicę, polegającą na tym, że dynamika w sferze monetarnej nie kształtuje się jednakowo w socjalizmie i kapitalizmie. W kapitalizmie natomiast należy się liczyć z żywiołową, autonomiczną kreacją pieniądza, podczas gdy w socjalizmie taka żywiołowa kreacja pieniądza nie występuje.

W socjalizmie planowanie równowagi między siłą nabywczą i masą towarową przebiega łącznie z planowaniem poziomu cen, gdyż w kapitalizmie równowaga między masą towarową i siłą nabywczą trzeba dostrzegać przez zmiany poziomu cen, przy czym oczywiście należy uwzględnić działania oszczędności, inwestycji, wyrezerwy itp. Muszę mocno podkreślić, że nie zmiarzałem do dokładnego przed-

stawienia dochodowej teorii pieniądza. Chodziło mi jedynie o narysowanie w zarysach toku rozumowania tej teorii po to, by w ten sposób uzasadnić swoje stanowisko, według którego właśnie ta teoria przydaje się nie tylko do umożliwienia zrozumienia problemów kształtowania siły nabywczej pieniądza w kapitalizmie. Może ona równocześnie służyć do naświetlenia tych samych problemów w socjalizmie i do wykrycia punktów widzenia nadających się do zastosowania (lub już od dawna z dobrym skutkiem stosowanych) w planowaniu gospodarki narodowej.

II.

Pieniądz socjalistycznego systemu gospodarczego odbiega pod niektórymi względami w sposób zasadniczy od pieniądza kapitalistycznego

PIENIĄDZ W SOCJALIZMIE

Znaczenie różnicy między pieniądzem w socjalizmie i w kapitalizmie wychodzi na jaw najdobitniej, gdy przypomnimy sobie wpływ, jaki miały wypadki okresu październik—grudzień 1956 r. na Węgrzech na kształtowanie się siły nabywczej pieniądza węgierskiego i przeciwstawimy im skutki, jakie zaistniałyby przy podobnych wypadkach w kraju kapitalistycznym. Podczas wypadków okresu październik—grudzień 1956 r. kwota wprowadzonej do obiegu nowej siły nabywczej przekroczyła na Węgrzech bardzo poważnie wartość w tym samym czasie uzyskaną produkcję towarów, ponieważ produkcja ta w większości przemysłowa była przez szereg tygodni zahamowana. Przyznosło to w następstwie spadek zapasów towarowych. Gdyby to nastąpiło w kapitalizmie, to pieniądz wpływający w wyniku wyprzedaży zapasów do kas kupców i przemysłowców — żeby się tak wyrazić — pałby ich w ręce, usiłowałby więc pieniądz ten przekazać dalej, a swoje zapasy towarowe możliwie jak najszybciej uzupełnić. Nie wywołałoby to większych wstrząsów jedynie w gospodarce o dużej elastyczności produkcji; w wypadku pełnego zatrudnienia wzmocniłoby to wynikające z takiej sytuacji tendencje zwyżkowe cen. Okoliczność, że w tym samym czasie nieoficjalnie notowana forinta za granicą lub notowania na czarnej giełdzie dewiz zagranicznych na Węgrzech wzrosły ponad dwa razy, bez wątpienia wzmagałaby jeszcze bardziej inflację.

W socjalizmie proces ten — jak można było zauważyć — przebiega inaczej. Tutaj zapasy towarowe znajdują się w rękach państwa (państwowych przedsiębiorstwach) — zmniejszają się. Prowadzi to do powrotnego napływu i anulowania pieniądza, nie powoduje więc żadnych zjawisk inflacyjnych. Państwo jest w stanie zupełnie dobrze znieść zmniejszenie znajdujących się w jego ręku zapasów i nie wywołuje żadnych historycznych objawów z jego strony; podczas gdy na inne wydarzenia w kapitalizmie fabrykanci i kupcy reagowałiby — rzecz oczywista — właśnie w historyczny sposób.

Socjalistyczny pieniądz jest znacznie odporniejszy na żywiołowe wpływy inflacyjne niż pieniądz w kapitalistycznym systemie gospodarczym. W okolicznościach, w których w kapitalizmie pieniądz o ustabilizowanej wartości zastąpiony zostaje pieniądzem inflacyjnym — w socjalizmie okazuje się możliwe utrzymanie w pełni stabilności wartości pieniądza.

STEFAN VARGA

systemu gospodarczego.) Wprawdzie pieniądz w obu systemach spełnia funkcje powszechnego środka wymiany i służy w obu systemach także jako jednostka rachunkowa. Również siłę nabywczą pieniądza można dla obu systemów wytłumaczyć w jednakowy sposób: przy pomocy tzw. dochodowej teorii pieniądza, oczywiście nie w jej początkowym, indywidualno-gospodarczym (mikroekonomicznym) ujęciu, lecz w ujęciu nowoczesnym, makroekonomicznym.

Pomimo tej zgodności istnieje jednak zasadnicza różnica, gdyż w socjalizmie emisja pieniądza (jak również kształtowanie dochodów) — w przeciwieństwie do kapitalizmu — jest ustalana i regulowana przez narodowy plan gospodarczy. W stosunkach społeczno-gospodarczych, panujących w krajach demokracji ludowej, kreacja wszelkiego rodzaju pieniądza, jak również emitowanie pieniądza, ma miejsce jedynie w sektorze socjalistycznym. Do sektora prywatnego pieniądź przepływa z sektora socjalistycznego. Produkcja, jaka ma miejsce w sektorze prywatnym (przed wszystkim w rolnictwie) i występujący tam obrót tylko w tym wypadku może być podstawą kreacji pieniądza i jego emisji, gdy sektor socjalistyczny zakupuje towary lub usługi od sektora prywatnego.) Transakcje te mają wszelkie zupełnie inny charakter niż w kapitalizmie, dlatego też ich skutki są całkiem różne od tych, które występują w kapitalizmie w związku z pieniądzem wprowadzonym do obiegu na skutek dyskonta weksli towarowych. Mianowicie w socjalizmie również pieniądź, który jako zapłata za towary zakupione przez sektor socjalistyczny w prywatnym sektorze, podlega kontroli poprzez system bilansu gospodarki narodowej. Państwo jest więc w stanie określać swoją siłę nabywczą przy pomocy narodowego planu gospodarczego i może również na drodze sprzedaży (realizacji) zakupionych towarów pieniądź ponownie wycofywać z obiegu.)

Pod pojęciem szybkości obiegu należy ex definitione rozumieć przeciętną ilość przebiegów z ręki do ręki jednostki pieniężnej (oraz pieniądza żyrowego). Ma to jeszcze sens przy czystej walucie złotej. Jednakże nie ma sensu przy banknotach, które od czasu do czasu wracają do banku emisyjnego, nawet jeśli uwzględnimy, że banknoty w kapitalizmie przed swoim powrotnym wpływem do banku przez pewien czas — na ogół krótszy niż 1 rok — pozostają w obiegu. Natomiast w socjalizmie większa część pieniądza po emisji ze strony państwa wraca od pierwszego posiadacza z powrotem do rąk państwa. Uwzględniając ten fakt, można by dla socjalizmu zamiast szybkości obiegu pieniądza stworzyć lub obliczyć dwa nowe wskaźniki monetarne:

a) przeciętną szybkość w dniach powrotnego wpływu pieniądza wprowadzonego do obiegu;

b) stosunek przeciętnego obiegu pieniężnego do dochodu narodowego albo do produktu społecznego brutto — wskaźnik, który wielokrotnie zgadza się z tzw. szybkością obiegu, ma jednak samodzielne własności jeśli idzie o zakres pojęcia oraz o przydatność do wytytułowania zjawisk monetarnych w gospodarce narodowej.

3) Nie sposób tu bliżej wyjaśnić, że wytworzenie socjalistycznego systemu pieniądza i cen wewnątrz gospodarki socjalistycznej w ramach równowagi bilansu gospodarki narodowej jest zadaniem stosunkowo łatwym tak długo, jak długo chodzi wyłącznie o sprawy dające się ustalić na różnych poziomach równowagi gospodarczej. Inaczej ma się rzecz z zapewnieniem wydajności w gospodarce narodowej, z gospodarnością przedsiębiorstw, z uruchomieniem dodatkowych materialnych w stosunku do robotników. Trudniej przedstawia się sprawa, jeśli idzie o stosunki międzynarodowe. W handlu międzynarodowym musi oczywiście być stosowana zasada „wzajemnych korzyści”. Zasada ta jednak dochodzi w handlu międzynarodowym tylko wtedy do głosu, kiedy realizowana jest w oparciu o prawo kosztów komparatywnych, a nie o zasadę wymiany ekwiwalentnej.

Ogólnopolski Konkurs Racjonalizatorów

Ministerstwo Górnictwa i Energetyki oraz Zarząd Główny Stowarzyszenia Elektryków Polskich ogłosił nowy konkurs na pomysły racjonalizatorskie w zakresie:

- bardziej racjonalnego niż dotychczas wykorzystania energii elektrycznej w wyniku unowocześnienia procesów technologicznych,
 - wprowadzenia nowych technicznych rozwiązań konstrukcyjnych,
 - poprawy warunków eksploatacji.
- Projekty powinny być odpowiednio

uzasadnione technicznie, uwzględniać korzyści techniczno-ekonomiczne (np. ilość zaoszczędzonych kWh, złotych itp.), powinny wskazać na stopień trudności realizacji zamierzeń oraz na materiały źródłowe, które stały się podstawą opracowania pomysłu.

Wnioski w zakresie tematyki konkursu mogą być zgłaszane ze wszystkich dziedzin przemysłu i usług.

Dla zwycięzców przewidziano są nagrody na łączną sumę 110.000 zł. Projekty zaopatrzone w godło należy przysłać na adres Stowarzyszenia Elektryków Polskich — Zarząd Główny, Warszawa ul. Chałubińskiego 3/5 — w terminie do dnia 30 grudnia br. Tam też można zażądać bliższych informacji o warunkach konkursu. (t)

J. BUDZYŃSKI

3

W poszukiwaniu ambicji i odwagi

OD REDAKCJI

Od chwili zamieszczenia na naszych łamach artykułu pt. „O ambitny program działania” (ZG Nr 6) otrzymaliśmy wiele wypowiedzi od naszych czytelników. Niektóre z nich drukujemy w niniejszym numerze naszego pisma.

Oczekiwaliśmy przełomu. Miał on polegać na rozwoju ruchu ekonomistów w Polsce powiatowej, na powstawaniu kół ekonomistów w dużych zakładach przemysłowych. I rzeczywiście, koła takie zaczęły powstawać. Ile ich powstało? Nie wiemy. Wiemy natomiast, że tylko niektóre z nich potrafiły przejść od słów do działania. Inne, pozostawiając jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz, istnieją raczej formalnie.

PRZYŁĄDEK DOBREJ NADZIEI

Zakłady Metalowe w Skarżysku Kamiennym. Pracuje tu kilkudziesięciu młodych ekonomistów, wśród nich większość stanowią absolwenci uczelni ekonomicznych. Gdzieś przed dwoma laty stworzyli koło ekonomistów. Co ich do tego skłoniło? Chęć działania, podnoszenia swej wiedzy, potrzeba dyskusji, ambicji i nadzieje. Ambicje tworzenia środowiska ekonomistów, potrzeba fermentu intelektualnego. Powiecie zapewne: patos, wielkie słowa. Lecz tutaj w Skarżysku mają te słowa konkretne, praktyczne, realne kształty.

Koło ekonomistów postanowiło zająć się problematyką rad robotniczych. Na wiosnę br. zorganizowano tu konferencję poświęconą problematyce rad robotniczych Kieleckiego. Brali w niej udział ludzie z innych województw; przedstawiciele praktyki i nauki. Dla koła ekonomistów i zakładu wydarzenie to miało duże znaczenie. Postanowiono więc, że problematyka demokracji robotniczej będzie przedmiotem corocznej konferencji organizowanej przez koło.

Obok tego zagadnienia koło zamierza zająć się problematyką perspektyw rozwoju ekonomicznego Skarżyska.

A oto inny problem: wiedza fachowa ekonomistów. Mowa zarówno o wiedzy ekonomicznej, jak i technicznej. Ekonomista pracujący w zakładzie i nie znający podstawowych problemów techniki i technologii nie może z całą pewnością podejmować decyzji ekonomicznych. Tu, w Skarżysku doskonale rozumieją ten problem. Koło zorganizowało szkolenie techniczne dla ekonomistów. W pierwszej fazie szkolenia chodzi o podstawowe problemy techniczne. Drugi okres szkolenia, który prawdopodobnie rozpocznie się w najbliższej przyszłości, ma przygotować ekonomistów do egzaminu mistrzowskiego.

Inicjatywa organizowania szkolenia technicznego była bardzo pożyteczna. Wystarczy powiedzieć, że w dotychczasowym szkoleniu brało udział 30-40 osób.

Koło posiada specjalny fundusz na organizowanie odczytów z problematyki teorii i praktyki ekonomicznej. Może więc zapraszać specjalistów.

Zdolno skompletować dość pokaźną bibliotekę ekonomiczną. Liczy ona ponad 400 tomów. Nie trzeba nikogo przekonywać, czym jest biblioteka ekonomiczna w środowisku oddalonym od ośrodków akademickich. Czym jest szczególnie dla młodych ekonomistów.

Są prawie wszystkie czasopisma ekonomiczne. Nie tylko są gromadzone, ale są czytane, omawiane i dyskutowane. Jak to robić? Weźmy dział ekonomiki i organizacji pracy. Na 19 pracowników — 14 ukończyło studia wyższe. Każdy interesuje się określoną problematyką, czyta wszystkie artykuły i opracowania, które ukazują się na ten temat w pismach ekonomicznych. Raz w tygodniu spotykają się wszyscy omawiając szczegółowo jeden lub dwa najciekawsze artykuły i informując się wzajemnie o treści innych artykułów. Aby ulepszać i zmieniać organizację pracy trzeba znać najnowsze osiągnięcia myśli technicznej i ekonomicznej. A ludzie ci mają takie właśnie ambicje. Chcą uczynić ze swego działu mały przykładowy Instytut badawczy. Zamierzają urzędować — badać, tworzyć projekty zmian.

Są to niektóre sprawy i osiągnięcia małej grupy ekonomistów. Biblioteka dział ekonomicznych, czasopisma, odczyty specjalistów, dy-

kusje, dokształcanie i ambicje badawcze — tutaj są to wszystkie sprawy codzienne i elementarne. Elementarne warunki rozwoju ludzi i myśli, umiejętności pracy i organizowania. Aby to stworzyć trzeba było bardzo niewiele — odrobiny inicjatywy i odwagi. Odwagi robienia czegoś nowego. Poparcia ze strony dyrekcji. Dobra atmosfera i dobry organizator. To wszystko.

A jednak mało jest u nas takich kół ekonomistów i takich przyładek dobrej nadziei.

ZABRAKŁO ODWAGI

Z ziemi kieleckiej przenieśliśmy się na Opolszczyznę. Największy zakład tej ziemi: Kombinat Chemiczny w Kędzierzynie. Pamiętacie zapewne artykuł o planach ekonomistów kombinatu. Była w nim taka mądra myśl: od słów przejść do czynów. Dość gadania. Zaczniemy wreszcie coś robić...

Koło jest równie liczne i równie młode jak w Skarżysku. Nie ma jeszcze biblioteki. Poza tym wszystkim koło bardzo podobne. I program i ambicje. Nawet pierwsze formy działania. Mimo tych pozornych różnic — jest to koło bardzo różnego i odmiennego. Jest inna atmosfera. Jakas bardzo przynajmniej. Po pewnym czasie koło przeżywa dzisiaj

Gdy stawia się generalnie problem wykształcenia ekonomicznego, nie należy zapominać o prostym fakcie, że administracja gospodarcza, jak wszelka zresztą administracja, tworzy piramidę i to piramidę o przekroju trójkątą nierównoboczną o bardzo ostrym kącie wierzchołkowym. Pojęcie to postaram się wyjaśnić w dalszych wywodach.

Walka ekonomistów z okresu sprzed drugiej wojny światowej o miejsce pod słońcem nacechowana była bardzo podobnymi przejawami jak stwierdza się w dzisiejszej walce o właściwe traktowanie i uznanie ekonomistów jako pracowników powołanych rzekomo z natury rzeczy do odgrywania szczególnej roli w życiu publicznym naszego kraju. Dzisiejsze przejawy niepokojów i niezadowolonych, jakie dają się zauważyć u wielu ekonomistów, absolwentów różnych uczelni i różnych roczników dadzą się wyrazić w lapidarnych formułach: „ekonomista — to istota zapomniana”.

Mam obawę, że znakomita większość ekonomistów, którym nie udało się zająć miejsca na szczycie piramidy w wyższych uczelniach czy też w przedsiębiorstwach lub administracji publicznej, zachowuje się w taki sposób, jak gdyby cierpiała na kompleks niższości; kompleks niższości jest jednak odwróceniem faktycznej istniejącego kompleksu wyższości. Na szczęście terapia nie jest trudna. Nie zawsze trzeba się uciekać do psychoanalizy; wystarczy autoterapia przy wzmocnieniu samokrytycyzmu.

Przed 30 laty, w środowisku ekonomistów poznańskich wielu absolwentów sekcji ekonomiczno-politycznej UP przeżywało podobny do dzisiaj stwardzenie — „wellschmerz”. Opuściliśmy ławy uniwersytetu dobrze przygotowani do rozwiązywania wielkich problemów, rozmawialiśmy boskiego nektaru „czystej nauki”, wydawało się nam, że każdy z nas powołany jest do działalności na skalę krajową, ba — nawet ogólnoswiatową. Tymczasem, kiedy weszliśmy w życie zawodowe, w codzienny kierał pracy na bardzo zresztą różnorodnych polach działalności, zajmując stanowiska od krzesła referendarskiego do foteli ministerialnych, przekonaaliśmy się, że tylko bardzo nieliczni z nas pracujący na szczycie lub blisko szczytu piramidy, w administracji państwowej i w naczelnych władzach gospodarczych lub na polu nauki, mogli stosować na większą skalę zdobytą na uniwersytecie wiedzę ekonomiczną.

Większość ekonomistów przedwojennych, nawet kiedy zajmowali stanowiska w dyrekcjach przedsiębiorstw i instytucji, nie miała sposobności do rozwinięcia skrzydeł, do

krzyż. Powstał on właśnie wtedy, gdy należało rozpocząć szerszą, codzienną pracę. Dlaczego tak się stało? Można tu spotkać takie rozumowanie: my ekonomisci niewiele tu znaczymy. Z wiedzą ekonomiczną nikt się tutaj nie liczy. Istnieje bowiem plan, który należy realizować za wszelką cenę i myśli techniczna. Te rzeczy się liczą. Nie poza tym. A co daje wiedza ekonomiczna? Nie decyduje o stanowisku i awansie.

Nie wiem, czy wszystko to jest prawdą. Lecz atmosfera jest mniej więcej taka.

Inicjatywa? Ambicje? To było dawniej, gdy tworzone koło. Brakło chęci i odwagi działania. Brakło nadziei, że można coś zmienić. Brakło pomocy dyrekcji. Koło istnieć nie mogło. Jest to istnienie formalne.

Dwa zespoły ludzi o podobnych intencjach. Dwa różne obrazy. Gdyby mnie zapytano, który z nich jest charakterystyczny dla innych kół wskazałbym Kędzierzyn. To zapewne nie jest stwierdzenie optymistyczne. Jest jednak prawdziwe.

Niektórzy działacze PTE wierzą w swolity automatyzm powstawania i rozwoju kół PTE. I może dlatego brak tu rozsądnego programu tworzenia kół i udzielania im pomocy. To stanowi jeden z powodów ich upadku.

*

Są to szersze problemy. Droga rozwoju ruchu ekonomistów, której dotąd broniliśmy, nie prowadzi do celu. Staje przed nami znowu pytanie: co robić, co dalej? Trzeba odpowiedzieć na to pytanie w oparciu o dwuletnie doświadczenia kół ekonomistów. Odpowiedź musi być konkretna i realistyczna.

Spróbujemy to zrobić w następnym artykule.

MIECZYSLAW KABAJ

Ambicje i rzeczywistość

operowania kategoriami naukowymi, do wykorzystania pełnego aparatu wiedzy, do czego ekonomisci czuli się przeznaczeni, bo wzmówiono im lub wzmówili sobie sami, że są skromni „nie na miarę krawca lecz Fidiusza”. Stąd rodziły się u wielu ekonomistów kompleksy o jakich wspominałem.

Ten rozdział pomiędzy nadzieją i ambicją z jaką wchodził w życie magistrzy lub doktorzy nauk ekonomiczno-politycznych a rzeczywistością wywoływał poczucie niedosytu i zapomnienia ich wartości przez społeczeństwo.

Niezadowoleni szukali dróg, na których mogliby wywalczyć należne sobie miejsce w społeczeństwie. Jedną z dróg było utworzenie w 1929 r. Związku Ekonomistów w Poznaniu. Celem tego związku była przede wszystkim obrona interesów zawodowych (sic!) i wzajemnej pomocy w uzyskiwaniu właściwych dla ekonomistów stanowisk. Na podobną drogę wskazywał uchwały Związku Ekonomistów UP jaki się odbył przed kilku miesiącami w Poznaniu.

Z perspektywy 30 lat mogę stwierdzić, że maksyma „dużo powołanych a mało wybranych” towarzyszyła, i nadal towarzyszy będzie polskiemu ekonomistom jeszcze długo, a w każdym razie dopóki wyższe uczelnie będą wypuszczały ekonomistów masowo. Jest rzeczą zrozumiałą, że ekonomisty o gruntownym wykształceniu szkoda marnować na stanowiskach, gdzie wystarczy wykształcenie jakie dają szkoły handlowe. Aby być referentem czy szefem zaopatrzenia itp. nie trzeba takiego przygotowania, jakie niezbędne jest na przykład dla dyrektorów departamentów w resortach gospodarczych, dyrektorów wielkich przedsiębiorstw itp.

Nie wszystkie czynności w życiu gospodarczym wymagają szerokiego horyzontu myślowego, zdolności koncepcyjnych, stosowania skomplikowanych metod ekonometrycznych czy posługiwania się historią zjawisk

Ranga ekonomisty nie jest dziś w naszym społeczeństwie wysoko cenniona. Poza centralnym aparatem zarządzającym gospodarką narodową, ekonomisci przez wiele lat nie byli w naszym kraju potrzebni, a i dziś zapotrzebowanie na nich nie wzrasta w dostatecznym tempie. Dawny model gospodarczy niemal zupełnie wykluczając działania narzędzi ekonomicznych i opierając się głównie na administracyjnych metodach kierowania gospodarką eliminował potrzebę wiedzy ekonomicznej z codziennego życia przedsiębiorstw, instytucji i organizacji gospodarczych. Dowody na potwierdzenie słuszności tego sądu znajdujemy w licznych, jakże znamienitych zjawiskach. Można wymienić ich szereg.

Absolwenci wielu uczelni ekonomicznych z ostatnich lat znajdowali zatrudnienie przy pracach mechanicznych, przy prostych pracach rachunkowych, statystycznych itp. czynnościach, nie wymagających wysiłku umysłowego, nie dających satysfakcji i nie znajdujących uznania w oczach społeczeństwa.

Wielu absolwentów uczelni ekonomicznych, gdy tylko znalazło odpowiednie warunki starało się dostać do wieczorowych szkół inżynierskich, pragnąc wyuczyć się zawodu technicznego, nie dlatego, abyby następni pełnić funkcję inżyniera-ekonomisty, ale po to, aby w ogóle zmienić zawód, po to by uzyskać wyższą rangę społeczną, by zdobyć fach cieszący się uznaniem i szacunkiem społeczeństwa.

Znane są również żądania młodzieży studenckiej uczelni ekonomicznych, domagającej się w ubiegłych latach ustanowienia tytułu inżyniera-ekonomisty dla osób kończących studia ekonomiczne pierwszego stopnia. Ten moment jest szczególnie znamienity, a nawet przykry. Świadczy bowiem o zdaniu sobie sprawy z nieprzydatności studiów, z nieprzydatności społecznej zawodu. Pożyczony tytuł miał być w tej sytuacji ratunkiem.

Innym niemiłym zjawiskiem faktem jest obniżanie stanowisk ekonomicznych przez ludzi nie tylko nie mających nigdy z tym zawodem do czynienia, ale często nie posiadających nawet minimum wykształcenia, jakiego się powinno wymagać od pracownika umysłowego. Ta łatwość w zastąpieniu ekonomisty posiadającego

Przejdźmy obecnie do rozważań nad związkami zachodzącymi między brakiem społecznego zapotrzebowania na wiedzę fachową ekonomistów a organizacją studiów ekonomicznych. Wydaje się, że nawet najlepsza zorganizowana uczelnia ekonomiczna niewiele potrafi zdziałać, jeśli będzie miała do czynienia z przeciętnym niskim poziomem studenta. Podobnie, jak najlepsza obrabarka nie potrafi wykonać produktu wysokiej jakości z nieodpowied-

Źródła rozczarowań

jącego określenie umiejętności zawodowe, przez ludzi różnych fachów i o różnym poziomie świadczący bodaj najlepiej o tym, że fachowa wiedza ekonomisty nie znajdowała zastosowania w dotychczasowym systemie gospodarowania.

Faktem godnym również zarejestrowania jest bój w obronie tzw. „genialnych jednostek”, długoletnich praktyków ekonomistów — toczony na łamach prasy, zwłaszcza od czasu, gdy zaczęto mówić o konieczności wymagania fachowych kwalifikacji od wszystkich pracowników gospodarczych.

Nie umniejszając znaczenia praktyki i będąc dalekim od niedoceniania wiedzy i wysiłków ludzi, którzy, nie poprzez studia wyższe, ale długoletnią, żmudną pracą i nauką zdobyli rzetelne kwalifikacje ekonomistów, musimy jednak stwierdzić na podstawie własnych obserwacji, że większość tzw. praktyków posiada jedynie bieżącą znajomość zarządzeń i opanowała technikę księgowości, finansów lub planowania. Wydaje się, że nie można jej z tego powodu równać z absolwentami uczelni ekonomicznych, a to co najmniej z dwóch powodów:

1. Przez szereg lat brak było możliwości zastosowania fachowej wiedzy ekonomicznej, a więc i tzw. praktycy nie mieli się czego nauczyć;

2. Nie należy również porównywać praktyka z absolwentem uczelni ekonomicznej, natomiast można porównywać absolwenta uczelni ekonomicznej z praktykiem po upływie kilku lat pracy. Wtedy porównanie w ogromnej większości wypadnie korzystnie dla ludzi mających ukończone studia ekonomiczne.

Przytoczone zjawiska stanowią nie tylko dowód potwierdzający wysunięte uprzednio twierdzenia, ale i na odwrót — zjawiska te można zrozumieć tylko wówczas, gdy twierdzenie o braku społecznego zapotrzebowania na ekonomistów uznaje się za prawdziwe.

Przejdźmy obecnie do rozważań nad związkami zachodzącymi między brakiem społecznego zapotrzebowania na wiedzę fachową ekonomistów a organizacją studiów ekonomicznych. Wydaje się, że nawet najlepsza zorganizowana uczelnia ekonomiczna niewiele potrafi zdziałać, jeśli będzie miała do czynienia z przeciętnym niskim poziomem studenta. Podobnie, jak najlepsza obrabarka nie potrafi wykonać produktu wysokiej jakości z nieodpowied-

niego materiału. A właśnie upadek społecznego znaczenia zawodu ekonomisty sprawia, że najzdolniejszą jednostką spośród młodzieży wstępującej na studia garną się na te kierunki studiów, których ukończenie daje gwarancję uzyskania wyższej rangi społecznej.

Uczelnie medyczne i techniczne właśnie dzięki walorom społecznym zawodu lekarza lub inżyniera przyciągają ku sobie młodzież najzdolniejszą, pozostawiając uczelniom ekonomicznym ludzi gorzej przygotowanych do studiów.

Nie oznacza to oczywiście żadnej skrajności. We wszystkich uczelniach są ludzie zdolni i mniej zdolni, jednakże zasadniczą prawidłowością jest omówione poprzednio zjawisko. Stan taki mści się z kolei na późniejszej ocenie przydatności absolwentów uczelni ekonomicznych do wykonywanego zawodu i pogarsza sytuację ekonomistów, pomniejszając jeszcze bardziej ich znaczenie.

Brak społecznego zapotrzebowania na ekonomistów ma również inne poważne skutki. Młodzi ekonomisci zamiast ciekawej i wartościowej pracy, do której przygotowała ich uczelnia, otrzymują pracę nudną, mechaniczną, źle opłacaną, nie znajdującą uznania, ani szacunku. Stąd bierze początek wiele rozczarowań, niezadowolonych. Nie odczuwa się potrzeby nauki, nie rozwija się wymiana poglądów, spada poczucie wydawnictw ekonomicznych, praca kół ekonomicznych, a zwłaszcza praca terenowych organizacji PTE pulsują bardzo słabym rytmem.

Opisana sytuacja panowała u nas do niedawna w całej swej smutnej krasie i dopiero zmiany modelowe pozwalały mieć nadzieję na pewną poprawę.

W miarę wzrostu samodzielności przedsiębiorstw, w miarę ściślejszego powiązania produkcji z rynkiem, w miarę przywracania pieniędzy jego funkcji miernika wartości — nabierze znaczenia zawód ekonomisty i podniesie się jego wartość. Przedsiębiorstwa i przedsiębiorcy szybko zorientują się, że bez badań ekonomicznych, bez rzetelnej analizy, bez umiejętności posługiwania się narzędziami ekonomicznymi nie sposób osiągać efekty ekonomiczne. Tak więc jedynie zmiany modelowe mogą przynieść poprawę w sytuacji ekonomistów.

JANUSZ ILCZUK
Radom

PRACA dla EKONOMISTÓW

Dla ułatwienia Instytucjom i przedsiębiorstwom doboru kadry wykwalifikowanych ekonomistów, dla wyszukania ekonomistów stanowisk pracy odpowiadających ich kwalifikacjom zawodowym, zamieszczamy bezpłatnie ogłoszenia ekonomistów poszukujących pracy lub pragnących zmienić pracę na bardziej odpowiedzialną (z kwalifikacjami zawodowymi). Bezpłatnie również zamieszczamy ogłoszenia przedsiębiorstw i instytucji, pragnących obsadzić stanowiska pracy wymagające wykształcenia ekonomicznego.

*

Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny na m. st. Warszawę zatrudni kilku ekonomistów ze znajomością handlu zagranicznego, podatków od gospodarki nieuspołecznionej oraz kontroli przedsiębiorstw. Wynagrodzenie podstawowe 1 800 do 2 250 zł.

Podania, ankiety personalne oraz odpisy świadectw i opinii składać należy w Sekretariacie Inspektoratu, Warszawa, ul. Świętokrzyska nr 12, pokój 4009.

*

Kierownika Działu Zatrudnienia i Płac (z sekcją Kalkulacji Warszawskiej) poszukują Zakłady Wytwarzania Aparatów Wysokiego Napięcia A-1 im. G. Dymitrowa w Warszawie, ul. Kaluszyńska 2. Zainteresowani proszeni są o przesłanie pod w/w adresem oferty z podaniem wykształcenia i szczegółowego przebiegu pracy zawodowej (nazwy i adresy instytucji) wraz ze zdjęciem (do zwrotu).

*

Ekonomista lat 32, z 8-letnią praktyką w planowaniu i księgowości w przemyśle hutniczym, w tym rok na stanowisku głównego księgowego i 5 lat w Hucie Lenina, zamieni pracę i mieszkanie w Nowej Hucie (3 pokoje z kuchnią, wygodami i telefonem, 10 minut od kombinatu) na pracę i mieszkanie w Warszawie lub w pobliżu Warszawy.

Oferty proszę kierować pod adresem: Halina Opole, Warszawa, ul. Białostocka 20 m. 8, tel. 9-25-79 z dopiskiem dla „A. K.”.

*

Stanowisko głównego księgowego, szefa ekonomicznego lub podobne w budownictwie lub w przemyśle na terenie Warszawy obejmie natychmiast doświadczony, z 14-letnią praktyką, magister ekonomii, absolwent SGH. Zgłoszenia należy kierować do „Życia Gospodarczego” z dopiskiem dla „JS”.

*

Doświadczony zaopatrzeniowiec z wieloletnią praktyką w zaopatrzeniu dużych przedsiębiorstw budowlanych, znający dobrze zakłady produkujące żelazo budowlane, urządzenia sanitarne i ceramikę budowlaną oraz mający nawiązane kontakty z instytucjami dostarczającymi względnie rozdzielającymi wymienione artykuły, absolwent SGH, poszukuje pracy w dziale zaopatrzenia większego przedsiębiorstwa na terenie Warszawy.

Oferty proszę kierować pod adresem redakcji „Życia Gospodarczego”, Warszawa, ul. Hoża 35, III piętro z dopiskiem „dla zaopatrzeniowca”.

HENRYK KALWARYJSKI
Poznań

Do artykułów Mieczysława Kabaja w „Życiu Gospodarczym” pt. „O ambitnym programie działalności” (z dnia 9 lutego 1958 r.) i „W poszukiwaniu koncepcji studiów” (z dnia 18 maja 1958 r.) chcę dorzucić kilka uwag i spostrzeżeń.

Ponieważ dotyczą one wspólnego zagadnienia — spraw ekonomistów — i razem tworzą pewien obraz sytuacji, dlatego może o obu tych artykułach i zawartych w nich problemach razem.

Na wstępie należy podkreślić, że opisany przez M. Kabaję stan i sytuacja, zarówno na polu pracy ekonomistów, jak i na wyższych uczelniach kształcących nowe kadry — są oddane dość wiernie i wnikliwie. Również zgadzam się w zupełności z większością podanych na zakończenie wniosków i postulatów. Myślę jednak, że chociaż przynoszą one wiele prawdy o sprawach ekonomistów — to jednak nie wszystko jeszcze zostało powiedziane.

*

Najpierw o nas. Byłem ostatnio na zjeździe ekonomistów w Wiśle (II Zjazd poświęcony zagadnieniom ekonomiki przedsiębiorstwa). Wiele już o tych naradach napisano, zarówno pozytywnie, jak i krytycznie. Nie znajduję się jednak nigdzie wzmianki o jednym z dość dziwnych objawów. Mówiło się mianowicie w kulisach o tym, że w ramach zjazdu istniały w pewnym sensie wyodrębnione dwie grupy. Jedną to ekonomistów naukowych, profesorów, asystentów, pracowników naukowych; drugą to ekonomistów praktycznych, z terenu fabryk i przedsiębiorstw. Ekonomistów „terenowych” czasem niechętnie patrzyli na grupę naukową, trzymali się może trochę osobno. Zjawisko to jest chyba bardzo negatywne i w omawianiu zagadnień i spraw ekonomistów należałoby się do tego zastanowić nad jego podłożem. Sprawa jest skomplikowana, ale ze zjawiskiem tym trzeba walczyć. Chętnie byśmy usłyszeli głosy innych ekonomistów na ten temat.

Z tym wiąże się również sprawa naczelnego organu PTE. Czasopismo „Ekonomista” przy całych swoich bardzo wysokich walorach naukowych — jest jednak pismem naukowo-elitarnym — jeżeli tak można się wyrazić. Nie odgrywa większej roli w terenie. O tym też mówiono w Wiśle — w kulisach. To jedno spostrzeżenie, czy może raczej temat do polemiki.

Problem drugi: sprawa absolwentów ekonomistów. Bieźprzecznie wiele szkody zrobiło wypuszczenie w latach 1949 — 1957 szeregu roczników absolwentów wyższych uczelni ekonomicznych, po trzyletnim okresie studiów i bez tytułu naukowego. Nie można więc się dziwić ich kompleksowi niższości wobec towarzyszy pracy — inżynierów, techników.

Autentyczne dyplomy szkół WSE na przykład z r. 1952 opiewają na „tytuły”: ekonomista-planista, albo:

ekonomista-statystyk. Sami absolwenci śmieją się z tego, a co dopiero inżynierowie.

W terenie — w fabrykach, w przemyśle, tytuł „inżyniera” ma wielką ciężar gatunkowy. Może znacznie większy, niż na ogół zdajemy sobie z tego sprawę. Ten tytuł imponuje. Bez względu nawet na zawartą w nim treść. Gdy przychodzi do pracy w przedsiębiorstwie inżynier, to już sam fakt posiadania tego tytułu mó-

przedstawiciela świata nauk ekonomicznych. Może jesteśmy — jak to się mówi — „za daleko od Warszawy”, ale to chyba nie ten powód.

*

Trudno jest, jak już powiedziano, rozdzielić na dwa tematy sprawy ekonomistów w nauce i pracy. Wiąza się one w sposób nierozdzielny, jedno wynika z drugiego.

Uznali walkę za przegraną

wi za siebie, a raczej za niego. Latwiej mu jest „zacząć”. A z czym ma „zacząć” ekonomista absolwent WSE po trzyletnim studium, czy może od „statystyki”, czy „planisty”. Stąd rodzi się ten kompleks niższości i stąd od razu pomniejszenie roli ekonomistów. Sami ekonomści zdają sobie z tego sprawę i to ich boli. Podam przykład z mojego zakładu pracy. Na około 30 zatrudnionych ekonomistów z wyższym wykształceniem, 18 osób kształci się obecnie na zaocznym studium magisterskim (organizowanym przez WSE w Krakowie i Katowicach). Ten fakt ma swoją wymowę.

Parę słów na temat współpracy katedr ekonomicznych z przedsiębiorstwem. Na czym ona polega? Niestety raczej streszcza się tylko do nielicznych wypadków, głównie zaś opiera się na rozpisywaniu ankiet i zbieraniu statystycznych informacji.

Znowu przykłady z własnego zakładu. W takim przecież wielkim przedsiębiorstwie, jak Zakłady Chemiczne „Oświęcim” przez okres ostatnich dwóch lat tylko raz miał miejsce przyjazd pracownika naukowego (asystenta SGPiS z Warszawy) na konsultację w sprawie ekonomiki przemysłu. Fabryka pracuje już półtora roku na zasadach eksperymentu gospodarczego, stosuje nowe metody zarządzania, analizy rentowności itp. Na zakończenie pierwszego roku i ogłoszenie wyników eksperymentalnego zarządzania w „Oświęcimiu”, przybyło szereg zainteresowanych osób reprezentujących czynniki partyjne i rządowe z wicepremierem na czele. Szereg redaktorów gazet i czasopism interesowało się naszymi wynikami i ich analizą, wnioskami na przyszłość. Nie było tylko żadnego

Co ma zrobić ekonomista pracujący w przedsiębiorstwie przemysłowym, kiedy odwiedza go korespondent jednej z poczytniejszych w kraju gazet i zadaje pytania dotyczące rentowności fabryki, opłacalności produkcji, porównania warunków ekonomicznych tej fabryki do produkcji zagranicą. Jaką odpowiedź ma dać na pytanie? Może dać właściwie tylko jedną: „nie wiadomo”.

Prof. Adam Krzyżanowski w wywiadzie (z dnia 12 stycznia Z. G. Nr 2 (58) stwierdza, że „gospodarstwo po omacku. Obliczamy rentowność w złotych, w mierniku wprowadzającym w błąd, bo nie posiadającym jako tako określonej wartości. Obecny nasz złoty jest wieloraki. Zarówno w stosunku do dolara i innych walut zagranicznych, jak i niemniej w stosunku do towarów. Ceny towarów w takcie są wielorakie. W wyniku tej niejednołtejszy kupna rentowności przedsiębiorstw jest nieznana”... itd.

Z własnej praktyki wiemy, że przeliczenie złotych na dolary możliwe jest u nas w kilku „warian-”

Sam jeszcze przeliczenie cen zbytu wyrobów produkowanych przez fabrykę nie rozwiązuje sprawy rentowności, gdyż jeszcze potrzebne jest przeliczenie kosztów własnych, a w tym takich pozycji, jak płace, energia, usługi itd. To już jest chyba naprawdę prawie niemożliwe. I tak dalej i dalej. Od-

powiedź na pytanie, jak przebiega rentowność fabryki, dlaczego jest strata na jednym a zysk na drugim wyrobie — jest niemożliwa. Można to wytłumaczyć ostatecznie — między ekonomistami, ale jak to przedstawić ludziom spoza przedsiębiorstwa, którzy tego chyba nie rozumieją. Wychodzi się z takiej rozmowy w pewnym sensie upokorzonym. Bo przecież taki redaktor pójdzie do inżyniera na ruch, do produkcji

Jest rzeczą powszechnie przyjętą (np. na zachodzie), że kto chce przystąpić do zapoznania się i oceny przedsiębiorstwa — gdy pierwszy raz ma z nim do czynienia, bierze przede wszystkim do ręki bilans zakładu. Pytam się kto u nas zaczyna od czytania bilansu.

Ekonomista schodzi więc w przedsiębiorstwie do roli podrzędnej „z mocy samych warunków panujących w przemyśle”. W obecnych panujących warunkach musi do niej zejść.

M. Kabaj pisze o ekonomistach, którzy zapomnieli o swych studiach, o swych tytułach naukowych, którzy wykonują mechanicznie prace w przedsiębiorstwie. Myślę, że można w pewnym miarze zrozumieć tych ludzi. Uznali walkę za przegraną. Odsunęli się widząc, że nie mają szans. Po prostu nie chcą się im już walczyć. „Po prowincji chodzą śmierć intelektualna. Zabija. Często ludzi z obywatelskimi ambicjami, zapalem i pasją” — pisze M. Kabaj. Pytam: ile ponosi za to winy „prowincja”, a ile „góra”?

Co robi ekonomista pracujący w zakładzie przemysłowym — który nie chce się „poddąć” tej atmosferze. Otóż odpowiedź znów zaskakująca: zapisuje się do NOT. To coraz częstsze wypadki. Tam szuka warunków do doksztalowania się, możliwości rozwijania swych zamiarów i na koniec rozrywki intelektualnej.

*

I tam się wszystkich dokładnie dowiada, otrzymuje wyczerpujące informacje, cyfry rzeczowe i dokładne. Wychodzi z fabryki z tym, że właściwie tylko u tego ekonomisty nie mógł się niczego dowiedzieć.

Dosłaliśmy już u nas do paradyksu ekonomicznego, jakim nazwać można by zjawisko tzw. cen rozliczeniowych stosowanych w niektórych gałęziach przemysłu. Mamy bowiem już: ceny porównawcze, w których wyceniono się produkcję, wykonanie planu; ceny zbytu służące m. in. do tego samego celu; gdzieś indziej jeszcze ceny fabryczne; mamy wreszcie ceny rozliczeniowe. Te ostatnie ustalane są co roku przede wszystkim na podstawie kosztów własnych wyprodukowanych wyrobów. Na coż to ceny? Aby uciec od fałszywych cen zbytu stosuje się ceny rozliczeniowe między innymi dla obliczenia rentowności przedsiębiorstwa. Paradyks czy absurd ekonomiczny?

Wspomniałem już o eksperymencie Zakładów Chemicznych „Oświęcim”. Chodzi jednak nie tylko o ten zakład. Chodzi o to, czym są w naszym gospodarstwie eksperymenty przedsiębiorstw w ogóle, tzn. tendencje do postawienia problemu ekonomiki na pierwszym planie? Zapewne są takie eksperymenty w kilkudziesięciu przedsiębiorstwach. W pozostałych ekonomika nie jest na pierwszym planie.

Trudno poruszyć w tej notatce wszystkie bolączki i sprawy „ekonomistów terenowców”. Chciałem tylko dorzucić do wypowiedzi M. Kabaję pewne rzeczy i fakty wzięte „na żywo” z terenu. Chciałem uzupełnić jego wywody. W tego rodzaju artykułach i polemikach — a temat ten jest powiedzied można bardzo istotny — trzeba jednak dać pełny obraz istniejącej sytuacji.

Myślę, że M. Kabaj pisząc wiele o prowincji, może za mało napisał i o tzw. „górze”, jak to my pracownicy terenowi, nazywamy.

Na zakończenie jeszcze jedno. Więcej artykułów w „Życiu Gospodarczym” dotyczących tych zagadnień.

Niech stanie się organem ekonomistów terenowców!

ANDRZEJ DONIMIRSKI

Główny ekonomista Zakładów Chemicznych „Oświęcim”

PANIE REDAKTORZE!

Na tablicy ogłoszeń Wydziału Ekonomii UW przeczytałem następujący komunikat Komisji do spraw zatrudnienia absolwentów — magistrów:

„Środek ministerstw i instytucji, z którymi Komisja zatrudnienia nawiązała kontakty, jedynie Ministerstwo Finansów wyraziło gotowość ewentualnego zatrudnienia magistrów. W rachubę wchodzi zatrudnienie w miastach powiatowych w charakterze pracowników wydziałów finansowych, oddziałów banków i PKO oraz inspektorów PZU...”

Mniej więcej w tym samym czasie na łamach pisma „Ekspres” ukazał się artykuł o egzaminach na wyższe uczelnie, w którym jest następujące sformułowanie:

„Dużo straciły na atrakcyjności — w oczach młodzieży — studia ekonomiczne. Limity wolnych miejsc na poznańskiej WSE na obu wydziałach ekonomicznych i handlowo-towaroznawczych nie są wykorzystane. I tak np. na pierwszy z wymienionych wydziałów zgłosiło się 112 osób, podczas gdy ilość wolnych miejsc wynosiła ponad dwieście. Na drugi wydział zgłosiło się 57 osób”.

Czy nie sądzi pan Redaktorze, że między tymi faktami istnieje tzw. dyalektyczna więź.

Słyszałem również, że na Wydziale Ekonomii UW kształcą się ludzie obeznani z ekonomią, cybernetyką i w ogóle współczesną wiedzą ekonomiczną. Wykładają tu m. in. tacy znani ekonomiści, jak: Lange, Lychowski, Brus, Greniewski, Bobrowski. A jednak okazuje się, że ta współczesna wiedza nie jest znana tak bardzo potrzebna. Ostatecznie, aby być referentem wydziału finansowego w Koziej Wólce, nie trzeba słuchać wykładów Langego, znać Keynesa, Schumpetera, Samuelsona, Tinbergena czy Winkiera. Nie trzeba kończyć bardzo trudnych studiów ekonomicznych. To się nie opłaca. I państwa i młodzieży.

Taki oto chciałem zrobić przyczynek do dyskusji o sprawach ekonomistów.

Złączę pozdrowienia

MIECZYSLAW BURAS

MIMOCHODEM

Bodźce

Wielu działaczy gospodarczych skarży się na bezzerność, o którą przypisują ich trochę a dalsze losy postępu technicznego. Dyrektorzy fabryk wydzielają sobie fachowców zapewnieniami o dobrych warunkach pracy (czytaj — płacy). A od morza aż po góry rozlega się powszechne wołanie: Kwalifikacje! Ludzie podnoszą kwalifikacje!

I nie. Prośby, błagania, gorące nalegania pozostają bez echa, nie rozbudzają potrzeby podnoszenia kwalifikacji. Niepójcie jak ci robotnicy nie chcą w żaden sposób zrozumieć, że to chodzi o ich własne dobro. Wiadomo — podnoszenie kwalifikacji, to zarazem podnoszenie zarobków, polepszenie własnego losu. Jak można tego nie rozumieć! Niepójcie, bo słuchajcie:

„Wysokokwalifikowanego pracownika... na stanowisko kierownika technicznego... z wyższym wykształceniem, co najmniej średnim i dłuższą praktyką... zatrudnimy... wynagrodzenie zasadnicze 1.600—1.800 zł i premia w zależności od wykonania zadań... Do zgłoszenia należy dołączyć życiorys i odpisy świadectw.”

W tej samej rubryce „Pracownicy poszukiwani” i w tym samym numerze „Expressu Wieczornego” z dnia 28 sierpnia br.:

„20 pracowników niewykwalifikowanych — zatrudnimy natychmiast... Zarobki 1.500—2.000 zł.” Tym razem niepotrzebny życiorys, ani odpisy świadectw.

I pomyśleć, że są jeszcze kandydaci na wyższe uczelnie!

(b)

Produkcja to organizacja, organizacja to kierownictwo. Zachodzi pytanie: czy to centrum nerwowe działalności produkcyjnej musi być kwestią jedynie doświadczenia i walorów osobistych, czy nie może być oparte na wiedzy naukowej?

Mam na myśli wiedzę o funkcjach kierowniczych, która byłaby uzupełnieniem wiedzy fachowej o produkcji i o zespołe zagadnień obejmowanych danym stanowiskiem kierowniczym.

Zapewne stworzenie teorii kierownictwa nie jest łatwe, jakkolwiek wydaje się niemożliwe. Natomiast opracowanie swego rodzaju przewodnika dla kierowników produkcji, zawierającego szereg zasad i części opisową, nie jest chyba zbyt uciążliwe. W połączeniu z rzeczową wiedzą o przedsiębiorstwie produkcyjnym i o produkcji może to zapoczątkować niezbędne minimum dla pełnienia funkcji kierowniczych o szerszym zasięgu.

Tymczasem dyrektor przedsiębiorstwa, główny księgowy, naczelny inżynier, kierownicy wydziałów zatrudnienia i plac, kadr, kierownicy budowl, bazują na wiedzy zawsze jednostronnej i ograniczonej, uzupełnianej doświadczeniem w sposób zmyślny, uciążliwy i z reguły nie wystarczający.

W takiej sytuacji kierownictwo na wszystkich szczeblach nie zawsze jest konkretne i fachowe, niekiedy sprzeczne się jedynie do utrzymywania rygoru wśród podwładnych, którzy są częściej krepowani nieprzemyślaną decyzją, niż kierowani i wspomagani.

W tym również tkwi jedna z przyczyn bezzbilności przedsiębiorstwa w rozwiązywaniu niektórych zagadnień. Ponadto brak odpowiedniej wiedzy, pełnienie funkcji kierowniczych bazujące li tylko na intuicji i nie zawsze wystarczających zdolnościach osobistych. Wszysko to obniża autorytet kierownika, ogranicza jego kontakty z podwładnymi. Sprzyja to tworzeniu się typu kierownika-biurokraty, albo ograniczonego majstra.

W takim stanie rzeczy specjalne kształcenie i doksztalcanie kadry kierowniczej wydaje się być nie mniej potrzebne niż kształcenie dowódców jednostek wojskowych lub dyrygentów orkiestr symfonicznych.

A CO ROBIĄ EKONOMIŚCI?

Z 17 ekonomistów z wyższym wykształceniem, tylko 1 zajmował kierownicze stanowisko (kierownik

Co dalej?

działu zaopatrzenia), 10 pełniło obowiązki magazynierów na punktach pracy, reszta zaś pracowała w charakterze referentów o rozmaitych nazwach zajmowanych stanowisk. Ekonomiści ze średnim, specjalnym wykształceniem przeważnie byli zatrudnieni w rachubie przy obliczaniu plac.

Tego rodzaju dokumenty jak plan kosztów, plan finansowy, bilans, normy wydajności pracy, zaszerogowanie pracowników, schemat organizacyjny — są sporządzane bez udziału ekonomistów ze specjalnym wykształceniem. Dotyczy to również takich spraw jak: analiza działalności przedsiębiorstwa w szczególności zaś analiza kosztów.

Nominalnym doradcą ekonomicznym dyrektora jest główny księgowy, faktycznym — prawnik. Jeden i drugi nie posiadają wykształcenia ekonomicznego.

Obowiązki wykonywane przez ekonomistów ze specjalnym wykształceniem nie wymagają specjalnego przygotowania, a wiadomości zdobyte w czasie studiów są wykorzystywane w tym wypadku w minimalnym stopniu.

Jednocześnie pracownicy na stanowiskach istotnie wpływających na działalność przedsiębiorstwa posiadają z reguły bardziej niż skromne wiadomości z zakresu ekonomiki.

Jeśli chodzi o pozycję ekonomistów w przedsiębiorstwie, zbyt daleko idącym uproszczeniem byłoby dopatrywanie się w istniejącym stanie rzeczy li tylko złej polityki kadrowej, a niesłusznym byłoby poglądy, jak usiłowałem to przedstawić, że ekonomiści nie są w zakładzie tego typu potrzebni.

Pomijając czynniki subiektywne — zarówno u ekonomistów jak i w kierownictwie przedsiębiorstwa — wydaje się bezspornym, że rola ekonomistów w dużej mierze uzależniona jest od ich stanu wiedzy ekonomicznej, od roli jaką ona odgrywa w przedsiębiorstwie oraz od posiadania konkretnego fachu.

INICJATYWA NIE WYSTARCZY

Część „białych plan” w wleidy ekonomicznej zapewne może i powinna być wypełniona siłami przedsiębiorstwa, w szczególności

jeśli chodzi o zagadnienia specyficzne dla danej produkcji, względnie o zastosowanie pewnych zasad i pojęć ogólnych w konkretnej działalności.

Powstaje jednak pytanie: Jak tego dokonać?

Na inicjatywę zarządu przedsiębiorstwa trudno liczyć. Możliwość tzw. twórczej inicjatywy ekonomistów są bardzo ograniczone. Charakterystyczne jest następujące eksperyment, o którym warto chyba opowiedzieć.

Jesienią 1956 r. w atmosferze wzmożonego zainteresowania ekonomiką, spontanicznie powstało w przedsiębiorstwie Koło Ekonomiczne, liczące 35 pracowników służby ekonomicznej oraz kilku inżynierów.

Uczestnicy Koła dostrzegając pewne niedociągnięcia we własnej pracy zawodowej, niezadowolający stan organizacji i ekonomicznej strony działalności przedsiębiorstwa, objawy marnotrawstwa i w ogóle nieracjonalnego gospodarowania, zdecydowali się, w ramach pracy społecznej dokonać próby naprawy sytuacji.

Koło rozpoczęło regularną pracę. Między innymi opracowano szczegółową problematykę kosztów własnych, stworzono koncepcję realnego i skutecznego planowania kosztów własnych, opracowano zasady projektowania przez dyrekcję kolejnej reorganizacji przedsiębiorstwa, omówiono szczegółowo nowe sposoby normowania pracy itd. W projekcie było również opracowanie metodologii analizy i ewidencji kosztów, racjonalizacji działalności i in.

Okazało się jednak, że praca Koła nie daje realnych wyników.

Przed wszystkim ujawniło się, że jego działalność budzi pewne opory ze strony kierownictwa przedsiębiorstwa. Ekonomiczna strona produkcji jest bądź co bądź odwrotną stroną medalu. Żeby coś udoskonalić, trzeba ujawnić istniejące anomalie, co skrytykować i coś zmienić. Krytyka godziła w kierownictwo, które nie było tym zachwycane. Stopniowo Koło znalazło się w swego rodzaju opozycji. A to ze względu na ewentualne

skutki, nie zachęcało do okazywania inicjatywy. Jakkolwiek zmiany mogły wprowadzić albo kierownictwo przedsiębiorstwa, albo wyższej instancji z jego inicjatywy, na wprowadzenie zmian nie zaakceptowanych przez autorytety, w dziedzinie tak mało znanej, zabrakło odwagi. Z jednym wyjątkiem.

Między innymi Koło postuluowało utworzenie — w granicach posiadanych etatów — albo pionu ekonomicznego, albo mocnego działu ekonomicznego, względnie działu kosztów własnych. Zamiast tego stworzono 3-osobową sekcję (1 student wieczorowej szkoły inżynierskiej, który miał zamiar pracować tylko w produkcji, 1 prawnik o pospitych stosunkach i 1 młody ekonomista). Pominięto przestróg niektórych uczestników Koła, że jest to pociąganie z góry skazane na niepowodzenie (skład osobowy, ilość pracowników). Sekcja wydała fantastyczne wytyczne, wprowadzono fantazyjną sprawozdawczość, wypłacono pracownikom około 100 tys. złotych i rozwiązano sekcję po niespełna roku całkowitej jej bezznaczności.

Poza tym brak jakichkolwiek prac teoretycznych w zakresie zagadnień najbardziej aktualnych, odpowiednich danych statystycznych i opracowań metodologicznych oraz poziom przygotowania uczestników Koła, wszystko to czyniło poczynania Koła wysoce pracochłonnymi, wymagającymi zbyt wielkiego wysiłku. Na taki wysiłek w ramach pracy społecznej, kosztownego wольного czasu i to bez widocznych wyników, na dłuższy czas uczestnicy Koła nie mogli się zdobyć. Koło ekonomistów przestało istnieć; kierownictwo przedsiębiorstwa nie próbowało utrzymać go przy życiu.

JAN TOMASZEWSKI
Bytom

* Autor omawia konkretną sytuację w jednym z przedsiębiorstw wykonawstwa inwestycyjnego podziemnych robót budowlanych w woj. katowickim.

DYREKCJA WYTWÓRNI SPRZĘTU KOMUNIKACYJNEGO
w MIELCU
Ogłosza

KONKURS

na stanowisko Głównego Księgowego

Wymagane kwalifikacje:

1. Wyższe wykształcenie ekonomiczne ze specjalnością finansów i rachunkowości przemysłowej.
2. Minimum 4 lata praktyki w księgowości na stanowiskach kierowniczych (w tym księgowości kosztów własnych).

W.S.K. zapewnia mieszkanie rodzinne.
Wynagrodzenie zasadnicze do 3.500 zł miesięcznie (dla kandydatów z dłuższą praktyką, szczególnie w księgowości kosztów własnych + do 25% wynagrodzenia zasadniczego) oraz do 30% premii kwartalnej.

Podania należy przysyłać na adres WSK Mielec — Dział Pracy do dnia 30.09.1958 r.

W

„Życie Gospodarcze”
(nr 29) ukazał się interesujący artykuł P. Kaltenberga pt. „O polityce wydawniczej”. W artykule tym znalazłem zresztą myśl i stwierdzenie niezwykle trafnych i słusznych, ale — przyznam się — nie bardzo zrozumiałe jest dla mnie jego zakończenie.

Słuszne jest np. stwierdzenie, że „punktem wyjściowym działania całego ruchu wydawniczego i poszczególnych wydawnictw „powinien być z góry ustalony program”. I że „program ten powinien opierać się na założeniu, że główne zadania wydawnictwa wypływają z walki o postęp społeczny, gospodarczy i techniczny w danej dziedzinie gospodarki czy kultury narodowej”.

Tak, ale jak to wygląda w praktyce? Wydawnictwa techniczne wydawały np. w 1957 r. ogółem 560 tytułów, z czego na wydawnictwa oryginalne w języku polskim przypada 476 pozycji, tj. 85% i na tłumaczenia na język polski 84 pozycje, tj. 15%. Czy proporcja ta jest właściwa? Wydaje się, że niezupełnie. Przecież szczególnie w dziedzinie techniki wydawnictwa powinny mieć jako główną wytyczną sprawę postępu, a dla przyspieszenia u nas postępu technicznego konieczne jest szersze korzystanie z dorobku naukowców i praktyków zagranicznych. Nie lędzmy się w wielu dziedzinach techniki zagranicą wyprzedza nas jeszcze dość wyraźnie.

I druga sprawa: wśród tych 84 tytułów przetłumaczonych na język polski były tylko 4 pozycje tłumaczone z języka angielskiego i 1 pozycja z języka francuskiego, a 16 pozycji z języka niemieckiego. Czy rzeczywiście poziom techniki w Anglii, USA i Francji jest tak niski, że niczego od nich nauczyć się nie możemy? Przypuszczam, że nie rozsądny tak nie powie, a na tak słabe korzystanie z dorobku wydawnictw krajów anglosaskich i Francji wpłynęły inne czynniki, których pochwalić chyba nie można.

Słuszna jest uwaga autora, że „projekty planów i programów wydawniczych powinny być podane możliwie szerokiej publicznej dyskusji, po wstępnym przedyskutowaniu ich na radach programowych poszczególnych wydawnictw i redakcji”.

Czy takie publiczne dyskusje odbywają się? Tak, ale w niedostatecznej ilości i zasięgu. A wydawanie książek bez udziału samych zainteresowanych, tj. odbiorców i

czytelników, jest niesłuszne i szkodzi.

Słuszne również są uwagi autora o sprzeczności stanowisk i interesów wydawcy i odbiorcy, sprzedawcy i czytelnika oraz dalsze stwierdzenie, że wydawnictwa często zmuszane są, a niekiedy same z własnej woli przesadzają w pogoni za rentownością.

Tak już u nas jest, że zwykle wpadamy z jednej krańcowości na drugą. Do pewnego czasu wydawnictwa, b. Centralny Zarząd Wydawnictw i b. Centralny Urząd Wydawnictw Przemysłu Graficznego i Księgarstwa nie zwracali uwagi na sprawę rentowności książki. Wydawano je przeważnie według uznania samych wydawnictw (które otrzymywały dość duże dotacje na pokrycie strat), bez względu na koszty i efekty ekonomiczne. Potem nastąpiło przesławienie orientacji o 180° i zaczęto żądać, by każde wydawnictwo i każda książka były rentowne. Zarówno jedno, jak i drugie było niesłuszne i przyniosło naszej gospodarce i kulturze poważne szkody.

Jako dalszy subiektywny czynnik autor podaje instytucje i autorów zainteresowanych w wydawnictwach. I prace takie były wydawane, chociaż celowość ich nasuwała mniejsze lub większe wątpliwości.

Słusznie autor twierdzi, że „ostra krytyka błędnej polityki wydawniczej przyczyniła się znakomicie do wyjaśnienia sytuacji i wytyczenia właściwej linii postępowania”.

To zdanie ma jednak trochę charakter „pobożnego życzenia”, a trochę deklaracji. Tak istotna i trudna sprawa, jak sprawa właściwej polityki wydawniczej, została przez autora potraktowana zbyt pobieżnie, została tylko „odfajkowana”. A to było niesłuszne. Autor nie powiedział nic, jak sam sobie wyobraża tę „właściwą linię postępowania”. A szkoda.

Popieram zdanie autora, że wykonane w placówkach naukowych prace powinny być drukowane na ich odpowiedzialność i polecenie, że niesłuszne jest, aby w tych przypadkach ostateczne decyzje podejmowali redaktorzy wydawnictw. „Innego potraktowania wymagają pozycje oferowane wydawnictwom „z wolnej ręki”. — rzecz jasna — muszą być oceniane, ale także raczej przez rady redakcyjne i recenzentów wydawnictw niż redaktorów”.

Słusznie. A na tym odcinku istnieją u nas niedobre zwyczaje. Często redaktor ocenia pracę autora, poprawia ją, a nawet przerabia i decyduje, czy i w jakiej formie ma się ona ukazać w druku. To

nie jest słuszne. Trudno przypuścić, aby redaktor więcej wiedział na dany temat niż sam autor pracy. Uważam za konieczne dać większą swobodę autorowi i równocześnie uczynić go w większym stopniu odpowiedzialnym za złożoną przez niego pracę. Tak przelać było u nas przed wojną. Nikt wtedy nie słyszał o takiej armii redaktorów i „poprawiaczy” w wydawnictwach, a czy mieliśmy książki gorzej lub lepiej opracowane? Chyba nie. Rola redaktora powinna być dokonywanie drobnych poprawek stylistycznych i nadanie pracy odpowiedniej formy i układu (za zgodą autora), a rolę autora powinno być złożenie w wydawnictwo pracy dopracowanej i gotowej do wydania.

Uważam za słuszne twierdzenie autora, że „...o ile w stosunku do prac instytucyjnych, uczelnianych itp. nie wydaje się celowe ich zaliczkowanie — to w tym przypadku (chodzi o prace oferowane wydawnictwom „z wolnej ręki”) — zaliczki są w pełni uzasadnione, a często konieczne”.

Tak, ale autor nie wspomina nic o wysokości zaliczek, a przelaz zaliczkę na wypłatę przez wydawnictwa zaliczek autorem ustala, że mogą one wynosić przy zawarciu umowy do 25%. Przypuszczam, że nie spotkałem jeszcze przypadku wypłaty zaliczki niższej od tego górnego limitu 25%. Czasem jest to dość duża suma, którą potem trudnością, gdy autor nie wywiąże się z warunków umowy. Kiedys w PIW za przy pomocy MO ustalano adresy zaliczkobiorców, którzy nie dostarczyli prac i nie odpowiadali nawet na listy w tej sprawie.

Tak, analiza rynku to również bardzo ważna, a nie doceniana przez nasze wydawnictwa sprawa. Bez ścisłej i szerokiej analizy rynku nie tylko nie można ustalić wysokości nakładu książki, ale też nie można prowadzić prawidłowej po-

lityki wydawniczej w wydawnictwach, których zadania „wypływają z walki o postęp społeczny, gospodarczy, techniczny” i które muszą się liczyć z zapotrzebowaniem społecznym odbiorców. Z braku tej analizy lub niedokładnej jej przeprowadzenia drukuje się niepotrzebne nikomu tytuły, nie wydaje się rzeczy istotnie potrzebnych i poszukiwanych, drukuje się książki w nakładach zbyt małych lub zbyt dużych.

W pełni popieram zdanie autora, że mechaniczna podwyżka cen książek była niesłuszna i że tylko książki luksusowe można traktować jako narzędzie drenażu rynku. Podwyżka cen zwiększyła wpływ na sprzedaż książek, ale równocześnie odbiła się ujemnie na ilości sprzedanych egzemplarzy. A przecież chodził nam o upowszechnienie książki, o podniesienie kultury społeczeństwa, o pogłębienie u ludzi wiadomości fachowych. Tak ważnych postulatów nie spełniamy podwyższając cenę książki, która powinna być dostępna dla wszystkich, na którą powinno stać nawet ludzi mało zarabiających. Wyrażam na przykład, że Słownika Wyrazów Obcych, Słownika Wyrazów Bliskoźnacznych, Małej Encyklopedii Przyrodniczej i innych podobnych wydawnictw nie można traktować jako wydawnictw luksusowych i narzędzi drenażu rynku. Te książki powinny się znaleźć w każdym domu, ale na to są oneza drogie.

W tym miejscu autor podniósł bardzo ważną rzecz. Z jednej strony wydawnictwa traktowane są jako przedsiębiorstwa, które powinny być rentowne, a z drugiej nie dano im nic z tych praw i przywilejów, jakie otrzymały przedsiębiorstwa przemysłowe. To jest anomalia, która musi być zlikwidowana. Bardziej słuszne wydaje mi się uznanie wydawnictw za przedsiębiorstwa, ale w tym przypadku muszą one otrzymać prawo do odpisów na fundusz zakładowy (bez bodźców

ekonomicznych nie będzie dobrej pracy i dobrych wyników).

Tu jednak nie zgadzam się z autorem, gdy twierdzi, że „...remanenty produkowały wprawdzie wydawnictwa, lecz na biurokratyczne zlecenie, nie na społeczne zamówienie...”. Owszem, same wydawnictwa w tych remanentach też mają swój poważny udział. Brak analizy rynku, oderwanie się od odbiorcy i czytelnika i zadowalanie się spełnieniem obowiązku dostarczenia książki na półki księgarskie DK — to wszystko obciąża właśnie wydawnictwa. Były i inne przyczyny, ale w „tworzeniu się i wzroście „bubli” nie można nie widzieć winy wydawnictw. Były one dość duże.

Ostatnich zdań artykułu nie mogę jakoś zrozumieć. Autor pisze, że „Ministerstwo Finansów jest powołane do tego, aby pilnować równowagi budżetowej, rentowności itp. finansowych elementów ekonomiki. Natomiast zadaniem Ministerstwa

Kultury — jak sama nazwa wskazuje — powinna być troska o kulturę, jej rozwój i upowszechnienie”.

Słusznie, ale to mało. Autor nie wyjaśnił bliżej, o co mu chodzi. I jak sobie wyobraża pogodzenie w wydawnictwach obowiązków i interesów Ministerstwa Finansów i Ministerstwa Kultury, w jaki sposób ma się przejawiać troska Ministerstwa Kultury o kulturę, jej rozwój i upowszechnienie. Nie wiemy też, jakie ostatecznie powinny być wydawnictwa, jak ustawione i jaka powinna być ich samodzielność oraz odpowiedzialność w dziedzinie polityki wydawniczej, która w jakim zakresie powinien nad wydawnictwami pełnić nadzór i w czym ma się on przejawiać. Oto pytanie, na które w artykule P. Kaltenberga nie znalazłem wyczerpującej odpowiedzi, a są to wszystkie — moim skromnym zdaniem — sprawy istotne, wymagające przedyskutowania i prawidłowego ustalenia.

Muszę przyznać, że dzięki notatce dyskusyjnej Z. J. znalazłem się w szczególnej wygodnej sytuacji. Wskazane bowiem przez autora luki w moim artykule powstały na skutek zamieszania przez redakcję tylko części dostarczonego jej tekstu. Spowodowane to zostało w zasadzie oszczędnością miejsca.

Wybrane elementy składowe całości zagadnienia polityki wydawniczej zostały w dyskusyjnym artykule omówione, acz przynajmniej nie zawsze rozwinięte. Całość natomiast sprawy próbowałem zewidencjonować w końcowych, pominiętych przez redakcję — dla uniknięcia powtórzeń — wnioskach. Tam też, podobnie jak w artykule, próbowałem zaprezentować własne stanowisko.

Problematyka upowszechnienia książki i czytelnictwa, analizowana na przykładzie wsi, zajęła istotnie zbyt wiele miejsca i musiała być pominięta, aby nie dekomponować tekstu. Nie jest wykluczone, iż egzemplifikacja ta będzie omówiona w jednym z czasopism, poświęconych problematyce wsi.

O wspólnie wydawnictw w tworzeniu i wzroście remanentów, omówionej na przykładzie konkretnego wydawnictwa, pisałem w ub. r. („Życie Gospodarcze” nr 18 i 27 z 1957 r.) i — po smutnych doświadczeniach — celowo do tematu nie wracałem.

A oto pominięte przez redakcję wnioski:

Wydawnictwa mają zaspokajać zarówno bieżące jak i przyszłe potrzeby gospodarki i kultury narodowej. Muszą współuczestniczyć w procesie kulturotwórczym przez upowszechnienie książek i czasopism. Muszą uwzględniać bieżące potrzeby. Jeśli zaś o przyszłość idzie, muszą się przyczyniać do wytyczania kierunku rozwojowego całoci gospodarki i kultury narodowej oraz każde w swoim zakresie działania — poszczególnych dziedzin, w tym przede wszystkim zaoferowanych i zaniebawianych. Jedną z nich są niewątpliwie ośrodki provincialne i wiejskie. Niezbędne zatem wydaje się:

— opracowanie, przedyskutowanie i ustalenie programu oraz zasad polityki wydawniczej, w tym m. in. w sprawie wyboru priorytetów wydawniczych, metod rozpowszechniania książek i czasopism, dostosowania do różnych środowisk i odbiorców, analizy rynku wewnętrznego, zbadania spraw eksportu oraz importu, polityki tłumaczeń zagranicznych, spraw zmniejszenia planów, limitowania środków, likwidacji remanentów, redukcji funduszu honorariów oraz celowości skomasygowania go z funduszem plac i zleceń; sensownej komercjalizacji i obowiązywania wszystkich nakazów gospodarczych;

— przedyskutowanie i uzgodnienie poglądów na to, czym jest wydawnictwo; przedsiębiorstwem, placówką kulturalną czy jednym i drugim w sensownym kompromisie, tzn. przedsiębiorstwem o określonych zadaniach kulturowych; to stanowisko chyba przeważa, wymaga jednak precyzji, szczególnie w odniesieniu do zadań i obowiązków oraz uprawnień, środków i metod działania wydawnictw, ich odpowiedzialności za własną produkcję i jej sprzedaż;

ustalenie poglądów na organizację władz nadzórnych wobec wydawnictw oraz zakresu ich ingerencji, a m. in.: czy wydawnictwa mają podlegać Ministerstwu Kultury i Sztuki, czy też branżowym resortom, i jeśli tak, to w jakim zakresie; jakie są dodatnie i ujemne strony każdego rozwiązania, może najtrafniejsze okazać się — pośrednie; czy słuszne było likwidowanie Urzędu Wydawnictw i czy słuszne są poglądy co do potrzeby utworzenia Centralnego Zarządu Wydawnictw na wzór Centralnego Zarządu Przemysłu Poligraficznego i Centralnego Zarządu Księgarstwa oraz jakie są doświadczenia z współpracy z departamentami Ministerstwa Kultury;

— jaka jest organizacja ruchu wydawniczego; czy słuszne jest określanie „profilu wydawniczego”, a zatem specyfikacja wydawnictw, czy też wskazana jest ich uniwersalność;

samość, jakie są konsekwencje monopolu wydawniczego i sprzedaży (np. „Domu Książki” i „Ruchu”), szczególnie w eksporcie książek („Ars Polona”) oraz w jakim stopniu dopuszczalna jest konkurencja i w jakim zakresie oba te czynniki (monopol i konkurencja) mogą stanowić elementy składowe socjalistycznej organizacji rynku;

— konieczne jest też przedyskutowanie wewnętrznych spraw wydawniczych, jak programowania i planowania, stosunku wydawnictw do poszczególnych ośrodków nauki i praktyki, polityki gospodarczej itd., roli redaktora, charakteru jego zadań i stosunku do autora i recenzenta, czy redaktor ma być edytorem, czy też powinien mieć i jakie kwalifikacje techniczne, czy słuszne jest ustalanie norm pracy na redaktora w arkuszach, czy i jakie jeszcze ponadto parametry (trudność tekstu, autor — debiutant itp.) należy uwzględnić, aby trafnie wymierzać i oceniać pracę redaktora; sprawę rentowności poszczególnych działów wydawnictw i wydawanych tytułów, a także porównawczej między wydawnictwami, sprawy czasopism w wydawnictwach książkowych itp.; wydaje się celowe przedyskutowanie z przemysłem poligraficznym spraw wspólnych i spornych, jak np. rytmicznego wykonywania planów produkcyjnych, wzajemnych na tym tle pretensji i zarzutów, wynikających ze współpracy lub jej braku;

— analogiczne przedyskutowanie z księgarzami spraw rozdzielnic i dystrybucji książek oraz organizacji pracy i wynagrodzenia (pro wizji i premii) aparatu sprzedaży, sensownej rotacji dla tak specyficznego „towaru”, jakim jest książka, sposobów likwidacji remanentów, metod upowszechniania książek, zwłaszcza wśród ludności wiejskiej i robotniczej, organizowania „Dni Książki” i podobnych imprez w ogóle, a na wsi oraz w zakładach pracy, szkołach itp. w szczególności;

— podjęcie szerokiego przeprowadzenia naukowych badań w zakresie czytelnictwa tak, aby wreszcie wiadomo było nie tylko, ile się drukuje tytułów i arkuszy oraz, już mniej dokładnie, ile się ich sprzedaje — lecz jakie książki powinny być wydawane, jakie są najchętniej czytane, poszukiwane i kupowane i w jakich ilościach, w jakich środowiskach, przez kogo i dlaczego, a jeszcze ważniejsze — jakimi sposobami należy popularizować książki i czy to trudne w sprzedaży; zorientowanie się w dotychczasowych poczynaniach w tej mierze oraz w najlepszych formach i metodach pracy poszczególnych wydawnictw, księgarń, bibliotek, bibliotekarzy, księgarzy i społeczników — dla ich upowszechniania.

Jak z powyższego widać, jest to raczej program koniecznych do podjęcia prac i ustaleń w zakresie polityki wydawniczej, nie jej za rysy. Ale wydaje się, że jednej skromnej osoby na taki wyciecz nie stać, natomiast powinny tym się zająć liczne, a dotychczas nie skoordynowane ze sobą ośrodki dyspozycyjne.

Reasumując: w nowych warunkach działalności społeczno-gospodarczej, w czasie nawrotu do krytycznego myślenia i analizy — nie wystarczy już dawny automatyzm działania, tym mniej autyzm — czyli pograżenie we własnym urojonym świecie, w myśleniu niepoznaczonym, oderwanym od rzeczywistości, całkowicie uzależnionym od chwilowych, aktualnych potrzeb różnych podmiotów działania, a więc praktycznie rzecz biorąc — niemyślenia; myślenie bowiem cechuje: refleksja, dyskursywność, logika, krytycyzm i liczenie się z obiektywną rzeczywistością — o co też idzie.

Sądzę, że mój szanowny dyskutant zgodzi się ze mną, podobnie jak ja, całkowicie podzielam jego krytyczne uwagi.

PIOTR KALTENBERG

ŻYCIE GOSPODARZE 7

Wszyscy zdają sobie sprawę, że praca aptek nie odpowiada potrzebom społeczeństwa. Nie chodzi tu o stałe lub okresowe luki asortymentowe; apteki nie mają żadnego lub tylko niewielkiego wpływu na ich łagodzenie. Mam na myśli w tym przypadku wyłącznie kolejki w aptekach jako zjawisko chroniczne oraz czas sporządzania recepty i wypisania leku. Po 13 latach od zakończenia wojny trudno odmówić ludności prawa do wygodnego i sprawnego zaopatrywania się w dobra materialne i usługi. Trzeba przyznać, że w różnych dziedzinach handlu i usług obserwuje się stałą poprawę, pomalutku podnosi się kultura handlu, stopniowo rozwijają się wyższe jego formy (pakowanie towarów, przyjmowanie telefonicznych zamówień, odnośnienie do domu itd.).

Niestety, na odcinku farmacji nie widać żadnej poprawy. W aptece trzeba z reguły stać w kolejce kilka, a niekiedy kilkanaście minut. Czasem po to tylko, aby się dowiedzieć, że potrzebne lekarstwo jest do nabycia w innej aptece lub jest w danej chwili w ogóle niedostępne. Sytuacja staje się jeszcze bardziej przykra, gdy zależy nam na otrzymaniu leku, nie fabrycznego, w formie gotowej, lecz recepturowego, który musi być „ex tempore” przyrządzony w aptece. Wówczas, jakże często, przychodzi nam czekać na odbiór do dnia następnego. W okresach epidemicznego nasilenia chorób, termin sporządzenia leku przedłuża się do 2-3, a niekiedy nawet 4 dni. A jest wśród nas wielu ludzi, którzy dobrze pamiętają, że lek recepturowy może być wykonany w ciągu 2 godzin (nie licząc nietypowych rzadkich przypadków, w których konieczny jest dłuższy okres przygotowania).

Jeśli uświadomimy sobie jednocześnie, że klientem w aptece jest człowiek chory lub członek jego rodziny, że stan nerwowy tej grupy ludzi z reguły nie jest normalny i łatwo dojść do wniosku, iż właśnie praca aptek powinna w pierwszej kolejności ulec usprawnieniu, kolejki powinny zniknąć bezpowrotnie, a czas czekania na lekarstwo powinien być skrócony do minimum.

Czy osiągnięcie postulatowanego stanu rzeczy jest możliwe? Im głębiej analizujemy problem farmacji, tym bardziej przekonuje nas odpowiedź: należy udzielić na to pytanie. Bo ważny tylko pod uwagę następujące dane:

1) W Polsce na ok. 28 mln ludności mamy ok. 6200 farmaceutów, tj. 22 na 10 000. Podczas gdy np. we Francji na ok. 44 mln ludności jest prawie 20 000 farmaceutów, tj. 4,5 na 10 000.

2) W Polsce bez porównania większy udział w obrocie stanowią leki recepturowe, a przecież głównie te są pracochłonne. Przy wizytowaniu aptek francuskich miałem możliwość osobście przekonać się, że średniejsza apteka w Paryżu sporządza 3-4 leki recepturowe dziennie. Analogiczna apteka w śred-

mieściu Warszawy wykonuje ich 300-400.

3) Dzięki wysiłkowi finansowemu Państwa oraz dydaktycznemu kadry naukowców stale wzrasta liczba farmaceutów. Wzrost ten jest jednak niedostateczny. Od 192 r. do 1958 r. liczba farmaceutów wzrosła z 4956 do 8131, tj. o 23,7%. W tym samym czasie liczba lekarzy wzrosła z 9700 do 18400, tj. 89,7%. A przecież oczywiste jest, że zatrudnienie farmaceutów jest wielkością w znacznym stopniu zależną od czynności lekarzy.

4) Stosowany w farmacji system plac utrudnia nabór kandydatów na studia. Ponadto, powoduje odpływ z

małocud zatrudnieni z tzw. pierwszym stołem bardzo dużo czasu tracą nieproduktywnie na wycofanie cept. Łatwo zdany sobie sprawę, że o ile taksonomia jednej lub kilku recept jest dla fachowca drobiazgiem, o tyle taksonomia wszystkich recept w ciągu roku w skali kraju tworzy niemałą liczbę ponad 83 000 roboczogodzin wysoko wykwalifikowanych pracowników (33,35 mln leków recepturowych w 1957 r. w tym ok. 30 mln ulgowych przez przybliżony czas-taksonowania i recepty ok. 10 sekund). Usprawnienie, które wyliczyłoby taksonowanie z bieżącej pracy farmaceutów dалоby efekt równoznaczny z uruchomieniem

LEKI na APTEKI

TADEUSZ SZUBA

zawodu fachowców już wyszkolonych; część kobiet rezygnuje z pracy i zajmuje się gospodarstwem domowym, część farmaceutów wykorzystując swoje wszechstronne wykształcenie w zakresie chemii i biologii przechodzi z aptek do innych prac.

5) Zapotrzebowanie na lekarstwa dzięki rozwojowi ochrony zdrowia szybko rośnie. Oto kilka cyfr ilustrujących rozmiary sprzedaży detalicznej aptek (w cenach detalicznych) na przestrzeni ostatnich lat:

lata	mln zł
1952	— 908
1953	— 1038
1954	— 1274
1955	— 1564
1956	— 1945
1957	— 2500

Zatem w okresie, kiedy liczba farmaceutów wzrosła o 23,7%, obroty aptek wzrosły o 175%, przy niezmienionej cenie leków. Nic nie wskazuje na to, by proporcje te miały ulec zmianom w przyszłości. Jeśli nie zostaną przedsięwzięte nadzwyczajne kroki zaradcze kryzys aptekarstwa będzie się nadal pogłębiał. Kolejki w aptekach i czas oczekiwania na lek będą się wydłużały.

USPRAWNIE NIE NA DZIS

Jako doraźny środek zaradczy, który mógłby w pewnym stopniu złagodzić trudności, można zastosować zmianę systemu opłat za leki recepturowe ubezpieczonych, Far-

maceutów zatrudnieni z tzw. pierwszym stołem bardzo dużo czasu tracą nieproduktywnie na wycofanie cept. Łatwo zdany sobie sprawę, że o ile taksonomia jednej lub kilku recept jest dla fachowca drobiazgiem, o tyle taksonomia wszystkich recept w ciągu roku w skali kraju tworzy niemałą liczbę ponad 83 000 roboczogodzin wysoko wykwalifikowanych pracowników (33,35 mln leków recepturowych w 1957 r. w tym ok. 30 mln ulgowych przez przybliżony czas-taksonowania i recepty ok. 10 sekund). Usprawnienie, które wyliczyłoby taksonowanie z bieżącej pracy farmaceutów dалоby efekt równoznaczny z uruchomieniem

nlem nowych 12 średniej wielkości aptek.

Pomysł zwolnienia aptekarzy od taksonowania recept dla chorych ubezpieczonych nie jest żadną rewolucją zważywszy, że zarówno przed wojną jak i dość długo po wojnie, kiedy chory ubezpieczony otrzymywał lek bezpłatnie aptekarz nie miał potrzeby recepty wyceniał. Czynność taksonowania mogła się odbywać poza apteką, a nie w obliczu wydłużającej się kolejki klientów. Wycena recepty pojawiła się jako zło konieczne z chwilą wprowadzenia częściowej odpłatności artykułów farmaceutycznych, wydawanych ubezpieczonym. Jak wiemy częściowa odpłatność została podkowana marnotrawstwem jakie miało miejsce w poprzednim okresie. Wielu chorych w ogóle nie odbierało zamówionych leków, zużyte środki lecznicze znacznie przekraczało faktyczną konsumpcję.

Naturalnie nie bez znaczenia przy podejmowaniu decyzji była sytuacja finansowa państwa. I dziś finans państwa nie są w najlepszej sytuacji, także obecnie nie jesteśmy wolni od walki z marnotrawstwem. Dlatego nie można proponować zniesienia odpłatności. Można natomiast zaproponować zmianę jej systemu. Zamiast pobierania 30% faktycznej wartości leku według cennika detalicznego można by pobierać opłatę ryczałtową w wysokości np. 3,50 zł od każdego leku recepturowego bez względu na to co w jego skład wchodzi. Według

danych statystycznych Centralnego Zarządu Aptek średni koszt leku recepturowego wynosił w 1956 r. ok. 4,31 zł. Uwzględniając zmiany następujące w recepturze (stopniowo większy udział droższych leków, zwłaszcza antybiotyków) — planowy koszt leku w 1958 r. wyniesie 11,17 zł. Średnia opłata pacjenta przy starym systemie obliczeniowym wyniosłaby zatem 3,35 zł (30%). Zarówno dla zaostrzenia sumy, jak i dla pokrycia kosztów związanych z taksonowaniem poza apteką opłatę ryczałtową można by ustalić na 3,50 zł.

Wielkość opłaty pod wpływem takich czy innych argumentów albo bardziej poprawnego rachunku mogłaby ulec zmianie. Nie to jest jednak istotne. Ważne jest osiągnięcie następujących celów:

1) Usprawnienie pracy aptek bez dodatkowego finansowego obciążenia skarb państwa.

2) Spełnienie postulatów ludności, która nie chce stać w kolejkach. Projekt ten nie oznacza oczywiście rozciągnięcia tego systemu na leki gotowe, za które również płać się 30%. Wycena bowiem recept na specyfiki jest znacznie mniej pracochłonna. Ponadto powstałaby warunki do nacisku na lekarzy, ze strony pacjentów, aby przepisywali maksymalnie ilości leku, a nie faktycznie potrzebne do kuracji. Tęgo rodzaju niebezpieczeństwo przy lekach recepturowych nie istnieje.

W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że Centralny Zarząd Aptek opracował już szczegółowy wniosek zmierzający do odbiurokratyzowania pracy w aptekach. Sprawa uległa jednak w PKC i Ministerstwie Finansów.

DO ROZWAŻENIA NA JUTRO

Nie trzeba oczywiście uzasadniać, że reforma systemu opłat za leki recepturowe może spowodować tylko nieznaczny poprawę sytuacji na rynku farmaceutycznym. Zaletą tej małej reformy jest możliwość jej wprowadzenia w życie bezwzględnie, bez specjalnych przygotowań.

Dłuższych przygotowań i mobilizacji środków materialnych wymagają zasadnicze posunięcia niezbędne dla poprawy stanu polskiej farmacji. Do najpilniejszych należy zaliczyć:

— nasycenie rynku farmaceutycznego masą towarową,

— zwiększenie sieci aptek i liczby farmaceutów,

— reformę cennika artykułów farmaceutycznych,

— dostosowanie płac personelu farmaceutycznego do aktualnych proporcji istniejących w kraju,

— uruchomienie w porozumieniu z lekarzami produkcji coraz szerszego asortymentu specyfików wytwarzanych fabrycznie oraz laboratoryjnie i tym samym częściowe rugowanie nieekonomicznych leków recepturowych, ręcznie przyrządzanych.

Każda z tych spraw wymaga jednak odrębnego omówienia.

ZAMOJSKIE PERSPEKTYWY

ZBIGNIEW WYCZESANY



Południowa Lubelszczyzna. Obszar ten obejmuje słynne z żyznych i urodzajnych gleb trzy powiaty: zamojski, hrubieszowski i tomaszowski. To stąd płyną nieprzerwanym ciągiem transporty owoców, zboża, ziemniaków, jaj, drobiu, żywca i cukru na zaplecze największych ośrodków przemysłowych Polski.

Południowa Lubelszczyzna to jedna z baz żywnościowych naszego kraju. W żadnym z trzech powiatów nie ma jednak rozwiniętego przemysłu spożywczego. Tysiące ton owoców nigdy nie wykorzystuje się tu w sposób racjonalny, zboże odsyła się w odległe rejony kraju do przetworzenia, żywca wędruje na przeciętnych liniach kolejowych całymi dniami, zanim trafi do śląskich rzeźni; również daleką drogę odbywa część buraków cukrowych, których nie są w stanie przerobić znajdujące się tu cukrownie.

Wszystkie te dobra, rolnictwa, w minimalnym stopniu są przetwarzane, czy też uszlachetniane na miejscu, nie mówiąc już o tym, że przemysł spożywczy, mający tak świetną bazę surowcową, nie zaspokaja nawet niewielkich stosunkowo potrzeb miejscowych.

Ten jednostronny charakter gospodarki rejonu powoduje, rzecz jasna, wiele ujemnych skutków gospodarczych. W ciągu ubiegłych lat podejmowano wprawdzie tutaj próby stworzenia przemysłu przetwórczego, ale wysiłki inwestycyjne były współmiernie niskie w stosunku do potrzeb, a ponadto obciążone wieloma błędami, nie mogły dać oczekiwanych wyników. Z tych m. in. względów poważna inwestycja planu pięcioletniego — wielkie zakłady mięsne w Zamościu — nie została jeszcze zakończona.

Dzisiaj sprawa rozwoju przemysłu

W Zamościu, mieście liczącym ponad 27 tysięcy mieszkańców, jest bezrobocie. Istnieje tu wprawdzie kilkanaście zakładów przemysłowych, ale zatrudniają one w sumie niewiele ponad 3 tysiące osób. W styczniu ubiegłego roku w zamojskim samodzielnym referacie zatrudnienia zarejestrowano 138 osób poszukujących pracy, w lutym — 384, w marcu — 528, w kwietniu — 538, w maju — 600, w lipcu — 296, w sierpniu — 300. Pod koniec roku liczba rejestrujących się bezrobotnych nieco się zmniejszyła, by wzrosnąć znowu z początkiem roku bieżącego.

Sporo ludzi wyjeżdża stąd w poszukiwaniu pracy do innych rejonów kraju. Dotyczy to jednakże tylko jednostek najbardziej przedsięwziętych. Co kwartał około 40 osób wyjeżdża do kopalni Górnego Śląska, tyleż — na różne budowy przemysłowe. W okresie letnim pewna część znajduje pracę w państwowych gospodarstwach rolnych. Nie wszyscy jednak wyjeżdżają. Poważna część zostaje tu na miejscu.

„...Pochodzę ze wsi, matka posiadała 1,8 ha ziemi (bez konia). W domu jest sześć dzieci. Na wsi nie ma co robić, u matki nie ma pracy, ani jedzenia. Na służbę do gospodarza nie pójdę. Chcę pracować w mieście i zdobyć zawód, lecz tu nie mogę dostać pracy...”. Chłopiec miał lat 19 i był jedynym z 187 bezrobotnych, z którymi rozmawiał zespół badawczy Instytutu Gospodarstwa Społecznego, badający sytuację na zamojskim rynku pracy kilka miesięcy temu.

Na wysoki poziom bezrobocia w Zamościu duży wpływ wywiera przeludnienie podzamojskich wsi. Jest ono szacowane przez Powiatowy Zarząd Rolnictwa na około 10

tysięcy osób. Z tej przeludnionej wsi pochodził wspomniany robotnik.

Przeprowadzony ostatnio bilans siły roboczej w Zamościu wykazuje, że w 1958 r. dla 1100 osób (w tym 570 kobiet) nie będzie można zapewnić pracy. Jeżeli nawet założymy pewne niedokładności przy obliczaniu zasobów siły roboczej, liczba ta będzie wciąż wysoka. Potwierdza ją ciągle długa lista bezrobotnych.

Zjawiska tego nie lekceważą zamojskie władze. W roku ubiegłym dzięki funduszowi interwencyjnemu stworzono kilkaset miejsc pracy, łagodząc częściowo sytuację na napiętym rynku pracy. W planach na rok bieżący temu zagadnieniu poświęca się również sporo uwagi. Nie rozwiązuje to również całkowicie tego bolesnego problemu.

Kiedy rozmawiam na te tematy z młodym i pełnym energii przewodniczącym Miejskiej Komisji Planowania, a równocześnie członkiem Prezydium MRN — Eugeniuszem Zglicem — wciąż przewija się problem nowych inwestycji. Tylko one mogą radykalnie wpłynąć na zmianę sytuacji w dziedzinie zatrudnienia.

Zlokalizowanie w tym rejonie obiektów przemysłu spożywczego ma poza tym pełne racje ekonomiczne i polityczne.

— Trzeba pamiętać — mówi on — że na przykład budowane wciąż jeszcze zakłady mięsne miałyby trudniej pod koniec sześciolatki 950 osób. Lecz dziś pracuje w nich zaledwie 150 osób. Ogółem w okresie planu pięcioletniego miało powstać w Zamościu 1700 nowych miejsc pracy. Powstało zaś niewiele więcej niż połowa tej liczby.

— A w planie pięcioletnim? — W Zamościu nie przewiduje się prawie nowych inwestycji, poza — oczywiście — kontynuowaniem prac przewidzianych do zakończenia w planie pięcioletnim. Ale to nie tylko nas nie zadowala, lecz jest przyczyną naszego stałego niepokoju. My w Zamościu nie chcemy wegetować. Chcemy jak najszybciej włączyć do produkcji poważne zasoby siły roboczej.

Kiedy przyjechałem do Zamościa program rozwoju tego miasta na lata 1959 — 1965 był już gotowy i zatwierdzony na specjalnej sesji Miejskiej Rady Narodowej. Oprawiony kilkunastuście stronami skróty, nieśledzi, nie umie mówić, a suche zestawienia i wyliczenia nawet w małym przybliżeniu nie oddają tej wielkiej żarliwości i ogromu nadziei, jakie towarzyszyły narodzinom programu rozwoju miasta. Czyż trzeba tu pisać, że przez wiele dni do późnych godzin wieczornych trwały w starym zamojskim ratuszu ożywione dyskusje nad nowymi problemami. Bezpośredni twórcy programu są skromni. Wskazują raczej na szeroki udział działaczy gospodarczych i społecznych spoza Prezydium MRN. — My zebrałiśmy tylko to wszystko — twierdzi Prezydent miasta Wiktorowicz. O tym co może i powinno powstać w Zamościu decydować mogli wszyscy: dyrektorzy przedsiębiorstw, działacze polityczni i społeczni; zarówno w formie ankiet, jak do nich skierowano przed opracowaniem programu, jak i w czasie wielu bezpośrednich dyskusji nad programem. Jakże to dało wyniki może świadczyć chociażby projekt stworzenia przy zakładach mięsnych fabryki konserw, w której znalazłoby zatrudnienie około 500 osób. Wyliczono z ołówkiem w ręku, że budowa takiej fabryki jest z punktu widzenia gospodarki narodowej niezwykle opłacalna. Koszt jej budowy

wyniesie około 5 mln zł łącznie z wyposażeniem. Jest to mniej więcej tyle, co 2-miesięczne koszty składowania, mrożenia i transportu mięsa w dotychczasowej postaci, tj. nieprzerobionej wafelki, pluc, flaków, tuszeczki, boczek, głowizny, szynki, łopatek i innych rodzajów mięsa. Chodzi po prostu o fakt, że dotychczasowe plany przewidywały, iż zakłady mięsne przerabiać będą jedynie 6,5 tys. ton mięsa, przy ogólnej produkcji około 23 tys. ton. Pozostałe ilości miały być przerabiane w innych ośrodkach.

Każdy nowy projekt był przedmiotem wielu sporów, lecz do programu sprowadzono tylko te, które mają pełne uzasadnienie ekonomiczne, a ponadto istnieją już na nie, bądź też są przewidziane określone środki inwestycyjne. Program nie może być zbiorem obietnic — tak mówią twórcy. Oto kilka przykładów.

Ogromny wzrost pogłowia bydła, a więc i produkcji mleka spowodował, że mały zakład mleczarski w Zamościu nie jest już w stanie go przerobić. Takiej ilości mleka, jak obecnie, a także w roku ubiegłym, mleczarnia zamojska nie skupowała nigdy w ciągu kilkunastu lat. Rozpoczęcie budowy nowoczesnego zakładu mleczarskiego, o szerokim profilu produkcji, nastąpić ma już w najbliższym czasie.

Zbyt mały w stosunku do możliwości produkcyjnych jest również zakład jajczarsko-drobiarski. Zatrudnia on obecnie 140 osób, w sezonie około 250. W programie rozwoju Zamościa przewiduje się bu-

dowę nowego zakładu jajczarsko-drobiarskiego, którego podstawą będzie rzeźnia i przetwórnia drobiu.

Mówi się również o konieczności budowy nowoczesnego młyna o zdolności przemiałowej 200 ton na dobę. Istniejące młyny, o przestarzałych i częściowo zużytych maszynach, nie są już w stanie zaspokoić w tej dziedzinie potrzeb Zamościa i okolicy. Koncepcja budowy nowego młyna powstała już dawno, a miastowicie w okresie budowy elewatora zbożowego. W tym celu zakupiono w 1952 r. w NRD dokumentację.

Bogactwo owoców w rejonie Zamościa stanowi bazę surowcową dla powstającej tu dużej przetwórczości owoców i wytwórni win. Rozważa się ponadto możliwość budowy na terenie miasta fabryki cukierniczej, nowego browaru o zdolności produkcyjnej 5 mln litrów piwa rocznie i innych, drobniejszych zakładów przemysłu spożywczego.

Pewne możliwości rozwoju istnieją w dziedzinie przemysłu drzewnego, materiałów budowlanych oraz przemysłu metalowego. Zrealizowanie programu w zakresie rozwoju przemysłu stworzy do 1965 roku około 2500 nowych miejsc pracy, podnosząc liczbę zatrudnionych w przemyśle do około 6 tysięcy osób. Jest to program minimum, budowany w oparciu o zatwierdzone już w zasadzie projekty poszczególnych inwestycji. Według obliczeń Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego w 1965 r. w dalszym ciągu jednak występować będzie brak pracy dla około 1500 osób.

Sprawa ta rozwiązana być może przez dalsze inwestycje. W związku z tym wysuwa się koncepcję zlokalizowania w Zamościu zakładów przemysłu włókienniczego oraz roszarni lnu i konopi. Warto tu może pokazać, jak doszło do tych pomysłów. Eugeniusz Zglicem będąc jeszcze studentem SGPiS prowadził w czasie wykładów notatki, a między innymi i wykładów Mieczysława Lesza. Obecny Minister Handlu Wewnętrzznego mówił wówczas o możliwości zlokalizowania takiego przemysłu w Zamościu. Były student, a dziś jeden z czołowych działaczy gospodarczych w mieście, pragnie tej koncepcji pchnąć na drogę realizacji.

Przedstawiliśmy tylko niektóre sprawy związane z programem rozwoju Zamościa w latach 1959 — 1965. Do spraw tych jednak przywiązujemy się największą wagę.

*

Programy podobne opracowywały ostatnio wszystkie powiatowe i miejskie rady narodowe. Na ich podstawie trwają obecnie prace nad programem województwa, które staną się z kolei podstawą nowego planu pięcioletniego. Zamojski program jest po prostu częścią tej wielkiej pracy.

Trudno dziś powiedzieć, czy program ten w całości znajduje swoje odzwierciedlenie w programie rozwoju województwa, czy wreszcie — w nowym planie pięcioletnim. Program ten opracowany przez szeroki krąg zamojskich działaczy gospodarczych i społecznych ma realne możliwości realizacji, zaś aktualna — szczególnie trudna sytuacja w dziedzinie zatrudnienia czyni realizację tego programu rzeczą szczególnie konieczną, a także pilną.

Nie wszędzie kanikuła

W okresie kanikuly, gdy w prasie literackiej rozległy się narzekania inwestorów, w czasopiśmie ekonomicznym bynajmniej nie wystąpiło zjawisko spadku natężenia dyskusji. Pisaliśmy już o bogatym tematyce numerze „Ekonomisty”, zawierającym pozycje dyskusyjne. Wypada teraz wspomnieć o 8 numerze „Gospodarki Planowej”, tym bardziej, że jest to numer również interesujący i po okresie wakacji warto do niego zaglądnąć.

Numer otwiera artykuł prof. M. Kałuckiego pt. „Czynnik określający tempo wzrostu dochodu narodowego w gospodarce socjalistycznej”. Artykuł ten jest właściwie kontynuacją pracy autora (patrz „Ekonomista” 5/56 i 1/57) na temat wzrostu dochodu narodowego. Jeśli przedmiotem autor analizował zagadnienie współzależności inwestycji i dochodu narodowego i dalej rozważał je z punktu widzenia czynników czasu, to teraz uzupełnia rozważania dzięki omówieniu wpływu zasobów siły roboczej, handlu zagranicznego oraz tzw. „plusów” rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarki. Autor używając matematycznej formuły, wykazuje znaczną zależność tempa wzrostu dochodu narodowego od wspomnianych wyżej czynników. Należy podkreślić, że omawiany artykuł ma duże aktualne znaczenie, stanowi bowiem istotny przyczynek teoretyczny do dyskusji na temat założenia planu perspektywicznego w latach 1961—75.

Drugą interesującą pozycją omawianego numeru jest artykuł prof. B. Miłocińskiego pt. „W sprawie efektywności inwestycji”. Zastawiamy pytanie: Znajdujemy w nim obszerną krytykę wskaźnika efektywności inwestycji Zakładu Badań Ekonomicznych PKPG, a głównie krytykę tzw. „współczynnika opłacalności”. Autor wskazuje, że współczynnik ten (ten) jest w istocie rzeczy procentem, wprowadzenie którego, zdaniem autora, „może prowadzić do wyboru wariantów inwestycyjnych zaciętych pod względem technicznym i niekorzystnych z punktu widzenia ekonomicznego”. Przy okazji p. Miłociński wyraża negatywny stosunek do propozycji zastosowania procentu w naszej gospodarce. Pisze on: „Wytworzenie kategorii procentu i stop procentowej wymagałoby przesłania, a więc jednolitości ekonomicznej, powstała własnością grupowej i konkurencji między przedsiębiorstwami politycznymi i biorącymi pożyczki. Byłoby to oczywiście sprzeczne z istotą gospodarki socjalistycznej”. W końcu artykułu omówiono i w sposób zamykający, zakładów inwestycyjnych. Ciekawe przy tym jest to, że autor mimo zastrzeżeń, sięga tu po koncepcję prof. Strumillina, która de facto zawiera swoiste zastosowanie procentu do obliczenia wskaźnika efektywności inwestycji. Autor jednak dowodzi, że wskaźnik PKPG pomija problem zamrożenia nakładów inwestycyjnych. Warto w związku z tym nadmienić, że podobny zarzut wcześniej wyszedł również ze strony zwolenników stosowania kategorii procentu.

Problemowi efektywności inwestycji poświęcony jest też drugi artykuł dyskusyjny I. Stefańskiego pt. „O czyśtość rachunku efektywności inwestycji”.

8 numer „Gospodarki Planowej” przynosi także dyskusję na temat trapiącego zagadnienia współpracy ekonomicznej krajów socjalistycznych. W tym zaborze głos A. Bodnar i St. Polaczek, którzy polemizują z tezami M. Rakowskiego, wyrażonymi w artykule pt. „W sprawie nowych form współpracy gospodarczej krajów socjalistycznych” („Gospodarka Planowa” 5/56 i 2/56, 5/56).

Poza omówionymi pozycjami numer zawiera wiele innych interesujących artykułów i materiałów. Wśród nich warto też zwrócić uwagę na kontrowersję między B. Sikorskim i Z. Lewanowską w sprawie rozwoju handlu prywatnego w Polsce.

W sumie jest to więc numer wart przestudiowania. (mak)

Bardzo by mnie ciekawiła wiadomość, co ludzie w naszym kraju sądzą o reklamie i szumie wokół przeglądu damskich piękności na warszawskim lodowisku, albo o metodach zabiegania o zmartwychwstanie popularności niektórych śpiewaków. I wiele jeszcze innych spraw, o których chciałbym wiedzieć, co sądzą moi współobywatele z różnych miejscowości, grup społecznych, klas, wieku. Bo jakże często przekonuję się, że to co jest z aprobatą przyjmowane przez moją kłatkę schodową, spotyka się z potępieniem w następnej klatce.

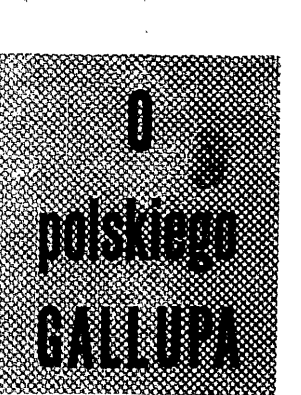
Chciałbym ponadto, aby ktoś mi powiedział, jaka jest linia przeciętnej opinii w różnych dziedzinach i jaki jest rozróżniony poszczególnych opinii po obu stronach tej linii. To pozwoliłoby mi zorientować się, w jakim społeczeństwie żyję; to zaspokoiłoby moją ciekawość, a wiadomo, że ciekawość wzbogaca w znajomość faktów, prawd i regularności.

Nie tylko zresztą o mnie chodzi. Sądzę, że niektórzy organizacje społeczne i związkowe z największym pożytkiem, a często być może i zdumieniem, dowiedzieliaby się, jaka jest opinia przeciętnej zwyczajowca o działalności centrali i jej poczynności np. w dziedzinie samorządu robotniczego. Mówiąc o opinii — myślę o takiej opinii, którą w sposób swobodny, nie skrepowany żadnymi naukami ani urzeczami psychicznymi, wypowiada się przy pół czarnej, przy kieliszku, czy też w innych podobnych okolicznościach, a nie na naradzie czy odprawie.

Wielu działaczy społecznych i

gospodarczych otrzymałoby ważną busolę w ręce, gdyby mogła do nich dotrzeć wiadomość jak tzw. szary człowiek odczuwa podniesienie stopy życiowej w ostatnich trzech latach, a jak ruchy cen w ostatnich miesiącach.

Jestem przekonany, że nie byłoby ani zbrodni, ani lekkomyślności, ani, tym bardziej



bezwolnym trudem, od czasu do czasu zapytać prostych ludzi, jak przyjmują poszczególne posunięcia kierownictwa. A może nawet dałoby się sformułować kilka ogólniejszych pytań na sprawy ustrojowe. Nowoczesne metody ankietowania i obróbki materiału statystycznego pochodzącego z ankiet, sprawiają, że nie potrzeba się dziś bawić w Harun-al-Raszyd, by poznać nastroje ludności, by zdać sobie sprawę z tego, jak poddani żyją. A wiedzieć koniecznie trzeba, czy-

wiście jeśli się chce nie być gorzszym od dobrego władcy z baśni.

Są kraje, które nie żałują wydatków na specjalne placówki badania opinii publicznej. Tam już dotarła do kogo należy świadomość, że prasa, wbrew temu co się na ogół sądzi, służy do kształtowania opinii publicznej, a nie tylko do jej reprezentowania. A jeśli już reprezentuje — to opinię określonego kręgu społecznego lub kierowniczego i opinię tę chciałaby przespesczyć możliwie jak największej masie innych ludzi.

Nie wiem, czy instytucje w rodzaju Instytutu Gallupa opłacają się, a jeśli tak, to komu. Wiem natomiast na pewno, że uruchomienie podobnej instytucji w naszym kraju przyniosłoby wielką korzyść. I kierownictwu i kierowanym. Badania GUS dotyczące spożycia, wydatków, organizowania gospodarstwa domowego, budżetów rodzinnych itp. z pewnością są pożyteczne i dobre, że się je prowadzi, bo to pokrywa w jakimś mniejszym lub większym stopniu zamówienie społeczne, złożone jeszcze w okresie państwa. Ale równocześnie badania te mają też wadę, że zaglądamy tylko do kieszeni i do garnika przeciętnej człowieka, nie mogą zaś zażyć do jego głowy i dowiedzieć się co myśli o swej kieszeni i o garnku. Sprawozdawczość i statystyka — to dwa bardzo ważne elementy dające obraz stanu państwa i jego gospodarki. Badanie opinii publicznej uzupełnia ten obraz i wzbogaca, pokazuje bowiem — jak to zwykliśmy dawniej mówić — nie tylko rzecz, lecz również człowieka. IACTOR

NAKŁADEM POLSKICH WYDAWNICTW GOSPODARCZYCH ukazały się następujące książki

1. Paul A. Baran „Ekonomia polityczna wzrostu” str. 272 cena 30 zł
2. G. Myrdal „Teoria ekonomii a kraje gospodarczo nierozwinięte” str. 214 cena 17 zł
3. Pr. zbiorowa „Szkice ekonomiczne” ser. I pod red. C. Grabowskiego str. 192 cena 20 zł
4. W. Lisowski „Problem zużycia ekonomicznego środków pracy” str. 259 cena 24 zł
5. A. Karpiński „Zagadnienia socjalistycznej industrializacji Polski” str. 239 cena 16 zł
6. Pr. zbiorowa „Dyskusja o prawie wartości i cenach w ZSRR” str. 202 cena 12,50 zł
7. T. Czechowski „Wstęp matematyczny do analizy przepływów międzygałęziowych” str. 93 cena 7,50 zł
8. J. Grzędziński „Maroko kraj kontrastów” str. 318 cena 19 zł
9. Pr. zbiorowa „Biblioteka Rady Robotniczej” komplet 14 broszur cena 42,50 zł
10. Pr. zbiorowa „Główne problemy sytuacji gospodarczej kraju” Rada Ekonomiczna przy Prez. Rady Ministrów str. 164 cena 11 zł

Książki Polskich Wydawnictw Gospodarczych można nabywać w księgarniach „Dom Książki” lub w Ośrodku Upowszechniania Książek i Czasopiśm PWG WARSZAWA, POZNAŃSKA 15.

ŻYCIE gospodarcze
Redakcja:
Warszawa, ul. Hoża 35.
Telefony: Redaktor Naczelny — 806-28.
Sekretarz Redakcji — 806-28, Redaktorzy — 803-92, Centrala — 803-13, 800-71.

REDAKUJE ZESPÓŁ: Włodzisław Brus, Andrzej Brzeski, Henryk Maklarski, Stefan Frenkel, Jan Głowczyński (red. nacz.), Tadeusz Jaworski, (sek. red.), Mieczysław Kabaj, Jerzy Kier, Józef Kowalik, Kazimierz Łaski, Mieczysław Mieszczyński, Zbigniew Mikolajczyk, Juliusz Mikolajski, Zofia Morecka, Marian Ostrowski, Józef Pajewski, Roman Pereltatowicz, Grzegorz Płanicki, Antoni Rajkiewicz, Wiesław Rydygier, Władysław Sadowski, Hubert Sukienicki (p.o. red. nacz.), Jan Werner, Janusz G. Zielinski.

WARUNKI PRENUMERATY: rocznie 104 zł, półrocznie 52 zł, kwartalnie 26 zł. Cena i egz. zł 8. Zamówienia i prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze, instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miastach wojewódzkich, w których są Oddziały i Delegatury „Życia”. Zamówienia na prenumeratę należy składać do dnia 10 m-cia poprzedzającego okres prenumeraty. Niezamówionych rekwizytów redakcja nie swraca. Cena ogłoszeń: za 1 cm² — zł 10,50. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: „Polskie Wydawnictwa Gospodarcze” Przedsiębiorstwo Państwowe. Skład i druk RSW „PRASA” ul. Marszałkowska 56.
Zam. 1646 A-16